JANUSZ SARYUSZ KAMOCKI.

PIERWSZE—OSTATNIE...



PIERWSZE — OSTATNIE...



JANUSZ SARYUSZ KAMOCKI

PIERWSZE—OSTATNIE...

Z PRZEDMOWĄ JÓZEFA DRABOWICZA

NAKŁADEM RODZINY

KRAKÓW — SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

1919

Drukarnia Uniw. Jagiell. pod zarządem J. Filipowskiego w Krakowie.

SYNOWI — OJCIEC.

O rycerzyku mój!
Poszedłeś w krwawy bój
Na wrogie szedłeś szańce,
Jak na zabawę, tańce...
O rycerzyku mój...

A śmiał się Tobie świat,
Boś Ty był jako kwiat
W przepychu barw i woni...
Więc w smutków naszych toni
Do Ciebie śmiał się świat.

Po drodze z laurów, róż,
Ze szczęścia pijąc kruż,
Odmierzysz życia ścieżę —
Marzyłem w hardej wierze —
Po drodze z laurów, róż...

Lecz inny znaczon łos.
W Twe serce zmierzon cios
Wszak zabił moją duszę...
W męczeńskiej teraz skrusze,
Ja wołam: straszny los.

Poszedłeś życie dać
Za kraj Twój i za brać
Poszedłeś walczyć w pole,
O drogie Ty pacholę
Poszedłeś życie dać...

Bo Tobie w duszy grał
Hejnał bijących dział,
Furkot chorągwi, szarża...
Ojczyzna, co oskarża —
Jej głos Ci w duszy grał...

Orłowy biorąc lot,
Dziś wśród anielskich rot
Ustawiasz tam szwadrony
Za Polskę, dla obrony...
O święty był Twój lot!

Pogrzeban martwy proch...
Gdy żywych wstrząsa szloch,
Wiedźże ich chwały torem,
Boś żywym — arcywzorem!
Tak siły wzmoże proch...

Gdy cierniem skłuta skroń
Przeznaczeń twarda dłoń,
Z boleścią — słodycz społem.
Iż bijąc Tobie czołem
Podnoszę dumnie skroń.

Mąkoszyn, d. 8. II. 1919 r. *W. K.*

Całkowita klęska i upadek trzech państw rozbiorowych w wojnie światowej z 1914 r. przynoszą Polsce wyzwolenie. Naogół w czasie tej wojny w obcym mundurze i za obcą sprawę krwawił się żołnierz polski.

Dopiero po upadku państw rozbiorowych wróciły do Ciebie, żołnierzu polski, twoje imię, twoje sztandary i twoje już nie bezimienne bohaterstwo.

Gdy legenda Tatr nie zbudziła ku potrzebie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej śpiących rycerzy Giewontu, poruszyły się zato żywych szeregi od Bałtyku ku Tatrom i od Śląska ku kresom wschodnim. Żołnierską szablę ujęły wraz z mężami kobiety i pacholęta, aby wyrąbać Polsce granice, aby ją ostatecznie wyzwolić bezcenną zapłatą krwi.

Rozgorzała walka na kresach. Rozpoczęły ją własną obroną polskie dzieci ze Lwowa, poczem pożar wojny przeniósł się w Poznańskie, następuje dalej najazd czeski na Śląsk i groźba burzy bolszewickiej ze wschodu.

Najszlachetniejsi synowie polskiej macierzy zapełniają więc szeregi żołnierskie, aby dać straż i bezpieczeństwo kresom.

Do tych pierwszych, do tych najszlachetniejszych, należy również Janusz Saryusz Kamocki, słuchacz krakowskiego uniwersytetu. Wziął on czynny udział, jako szeregowiec I pułku ułanów Beliny, przy ostatecznem

wyrzuceniu Ukraińców ze Lwowa i przy odpieraniu ich dalszych ataków.

W końcu odkomenderowany pod Przemyśl padł 3 stycznia 1919 r. od hajdamackiej, skrytobójczej kuli.

Naszym obowiązkiem jest, aby tych ludzi, którzy ofiarną krwią wolną Polskę stworzyli, przekazać pamięci przyszłych pokoleń.

Życie dzisiejszych ludzi - ich walki, trudy i myśli będą w przyszłości drogocennemi relikwiami, będą o nich mówić matki swoim dzieciom ku zbudowaniu i będą je sławić pieśniarze narodu Niejeden też smutnie się zaduma i niejedno serce zaboleje. gdy się dowie, ile osobistych nadziei, ile skarbów ducha i ile zasobów energii złożono ofiarnie dla Ojczyzny. Dziś rosną nam przecież serca, bo się widzi, że nienadaremny ten żołnierski trud i ofiara z ran i życia, bowiem zaledwie śnione dawniej wizje i tęsknoty nasze cud chwili realizuje, a wiekowe fata morgana znikają z przed oczu polskich na zawsze.

Gdy wieść o śmierci Janusza doszła do grona Jego kolegów uniwersyteckich, zwróciliśmy się do rodziców Janusza, aby, po utracie jedynaka na rzecz Polski, oddali wdzięcznej Ojczyźnie w depozyt pamiątki po Nim — Jego myśli, marzenia i zamiary na przyszłość.

Chlubny to będzie pomnik dla Niego, choć nie dla chluby wystawiony, a dla potrzeby serca.

Miłość rodzinna i przyjaciół ustali w ten sposób stałe obcowanie z Januszem.

Badacz z tych Jego pism rozpozna siłę bożej iskry ducha, siłę talentu i wykreślić będzie mógł linie Jego przypuszczalnego rozwoju.

A wszyscy odnajdą tu część siebie, część swoich własnych młodzieńczych marzeń, wzlotów i ideałów.

Dusza Janusza była czysta jak łza, a wysokie napięcie Jej dziwnie jednokierunkowe: żył Polską i dla Polski. Nie przeszkadzało mu to do bogactwa i różnostronności własnej kultury duchowej, dając mu siłę wystąpień i probierz do oceny zjawisk życiowych.

Brał on udział w naszych dysputach nieskończonych, jakie zwłaszcza miały miejsce w naszem dość ścisłem kółku artystyczno-literackiem. Ale gdy my podejmowaliśmy nieraz różne krańcowe twierdzenia osztuce i jej zadaniach, Jego pogląd był stały, że my w naszych warunkach musimy sztukę oddać na służbę narodową. Dokąd wolności nie mamy, według Niego, sztuka niepatrjotyczna jest zbytkiem.

Janusz Kamocki urodził się 2 lutego lutego 1900 r. w Warszawie. Wychowała Go jednak bujna Sandomierska ziemia. Kształcił się w Krakowie w gimnazjum realnem, później dla przeszkód wojennych w Starej Wsi u ks. Gralewskiego, a gdy on szkołę zamknął, kończył szkołę realną w Tarnobrzegu. Potem wstąpił na wydział filozoficzny dla studjów literackich w Krakowie. Jednocześnie ćwiczył się w malarstwie, wykazując zadatki talentu w pejzażu i portrecie.

Miłość Polski, którą wyjawił w pismach i rozmowach, a wreszcie w ochotniczej wojskowej służbie, Janusz zawdzięczał tradycjom rodzinnym.

O tej miłości w sposób znamienny poucza nas Jego dramat »Święty Znicz«, pisany w 16 roku życia.

Oto słowa pamiętnika o tym utworze: »myślą przewodnią utworu jest: Polacy strzegą Świętego Zni-

cza miłości Ojczyzny i w walce o wolność poświęcają wszystko... Hasłem utworu jest: Polska mieczem tylko wolność zdobędzie«.

Słowa te, to powiew od drużyn Strzeleckich i Bartoszowych, które z tą dewizą wychodziły w pole.

W tym dramacie są już wcale dobre sceny. Jest i ruch i życie. Tylko odczuwa się nieco brak związania poszczególnych aktów.

O wiele więcej walorów estetycznych posiada dramat »Traugutt«. Widzimy tu dobrą inscenizację, rysunek także niektórych postaci jest doskonały np. dwaj dyplomaci, jest ciągłość akcji zamierzonej, dalej są sceny, oddające z prawdą i siłą sytuacje ludzkie. N. p. sc. XIII aktu II, gdzie uczucia Anny wywołane racją stanu i karjery przebiegłych dyplomatów, grają całą różnorodnością barw i akcentów. W »Traugucie« autor wywołuje efekty przez ustawienie charakterów przeciwstawnych, jakby tez i antytez życiowych. Autor w tym względzie mógłby powiedzieć Krasińskiemu to, co Dante Wirgilemu:

Ty jesteś Mistrz mój, ty moja Powaga:
Przez Cię jedynie styl mój nabył piękna
Sztuki, skąd dzisiaj moja cześć się wzmaga.

Dramat był zakrojony na 6 aktów, lecz jest tych aktów pięć; zaś ostatni, o ile wiadomo, miał przedstawiać głównie obraz stracenia Traugutta, więc nie wiele już ważyłby dla treści utworu.

Utwór ten, jak zresztą i wszystkie inne, to bój autora o Polskę: o polską duszę o polską wiarę i nadzieję. Karty te, to jedno życzenie, aby z popiołów

odrodził się Feniks polski, on ptak wolności naszej i aby wreszcie zleciał na stałe do nas, rozgłośnie bijąc skrzydłami.

Rozprawia się też w »Traugucie« z obcą pomocą, na uczuciowych przesłankach opartą. Literat polski wobec Hrabiego Francuza staje z bolesnym wyrzutem powstańców i narodu.

Co do światopoglądu autora, to wpatrywać się on musiał w jakiś twardy Los.

Zaznaczyć też trzeba, że bardzo miłe i świeże są Jego obrazki — impresje z wojny, zaś »Dwie dusze« mówią nam o budzącej się psyche autora ku odczuwaniu nieśmiertelnej potrzeby osobistego szczęścia i kochania.

Ale na to ostatnie nie stało już czasu Januszowi. Potrzeba Polski wiążąca się przedewszystkiem silnie z potrzebą Jego serca, poderwała Go ku kresom.

Zabrzękła szabla ułańska, zadzwoniły o bruk krakowski podkowy końskie, zasalutowano przed prochami królów Wawelskich — i poszliście i zniknęliście w dali.

Mężnie i karnie stanęliście w obliczu wroga.

A tam już przedewszystkiem Ty, Januszu, szedłeś zawsze i wszędzie na ochotnika. Nie było podjazdu, aby Ciebie w nim brakowało. Chodziłeś na tak zwanej »szpicy« oddziału. Omijały Cię jakoś kule. Twoja dusza czuła, wrażliwa i kochająca, dumna być mogła, że dla głoszonej przez siebie idei teraz wierną służbę niesie.

Ta walka Twoja Januszu, była przedłużeniem rycerskich czynów Twych przodków. Ta walka Twoja była ich pięknem zakończeniem.

To też rodzice na mogile chcą posiać pierwiosnki Twoich myśli, aby tu kwitły i świadczyły o Tobie na długo.

Pąki to Twoje nierozkwitłe.

Pierwiosnki to pierwsze i ostatnie.

Boś Ty zakreślił już łuk niedługiego swego życia i odszedłeś od twórczej pracy. A jak odszedłeś, niech mówi nam o tem Twój pożegnalny list do rodziców przed odejściem w pole, który jest Twoim łabędzim śpiewem, świadczącym o miłości i zapale Twoim; o chwili zaś samej odejścia opowie nam tak bardzo prawdziwy ustęp pacholęcego utworu »Święty Znicz«, gdzie spotykamy się z wizją autorską własnej śmierci.

Ranny.

...Już domowych nie zobaczę... Zostawiłem rodziców i siostrę i... jeszcze jedną, drogą mi...

(do Olgierda) Panie poruczniku, ty wiesz. Jej prześlij odemnie ostatnie pozdrowienie i powiedz, gdzie leżę. Powiedz, że pod tym czarnym krzyżem... Może odwiedzi mój grób i dopiero zapomni.

Olgierd.

Towarzyszu, masz mi co do powiedzenia, to powiedz, bądź spokojny, ostatnią twą wolę wypełnię.

Kapelan.

...I zaprowadź duszę na łono miłosiernego Boga...

Ranny.

(Podnosi się trochę, wyjmuje z zanadrza dwa krzyże waleczności i podaje Olgierdowi).

Te krzyże... daj rodzicom i powiedz... powiedz, (głośniej) że kula przebiła mi pierś i żem zginął dla Polski.

J. Drabowicz.

...A gdy i chaty im zajęto, gdy obcy bezprawnie w ich gniazda odwieczne wchodzili — wysypał się cały lud na pola bezładnie. Szli tak po równinach kaszubskich polscy rybacy z rodzinami. W sercach jeno ból straszny mieli i sromotę a w głowie obłąkanie. Dokąd idą? Ciągnie ich coś nad morze, nad Bałtyku brzegi...

Stanęli...

Przed nimi żółta wydma piaszczysta, dalej sine, ciemne morze.

Rozbiegł się tedy lud na wszystkie strony i każdy z osobna lament czynił. Z każdej piersi szedł okrzyk bezsilny, śmieszny bezcelowością, daremny...

— Nie wydrzecie nam ziemi, nie wydrzecie!

A w odpowiedzi zahuczało im morze niespokojne. Spieniły się fale zimne, wzbiły w górę bałwany o stalowych grzebieniach i z pluskiem opadały. Ryk szedł szedł po morzu złowrogiem. Gdzieś z dalekiej północy szły ciemne, zbite chmury i zasnuwały niebo...

Była to zapowiedź burzy.

Wygnańcy tymczasem rozsiedli się i płakali. Na losu swojego wyrzekali niegodziwość, na życie marne, niewolne.

Długo tak spoczywali, goryczy sobie jeno dolewając, gdy wtem od wschodu zauważyli majaczące cienie. Spojrzeli tam wszyscy. Wkońcu widać było wyraźnie, że hen od strony Polski, z kierunku marzeń

dotąd niespełnionych, pędzili jeźdzcy jacyś. A dziwnie wyglądali: Na przedzie jechał mąż na koniu białym o grzywie jak obłoki kłębiącej się. Przystanął nagle mąż. Wzrokiem roziskrzonym zmierzył lud bezładny. Tłum ucichł nagle, on zaś dał znak, że mówić chce.

— Słuchajcie!

Nie pora na rozpacz, gdy dachu niema nad głową. Bracia! Na wszystkich Polski stronach za chwilę pioruny grzmieć będą. Niedługo czekać, gdy ziemię całą ognia zarzewie ogarnie! Teraz albo nigdy o Ojczyznę się naszą upomnieć! Na wszystkich czterech Polski stronach za chwilę pioruny grzmieć będą. Niedługo czekać, gdy ziemię całą ognia zarzewie ogarnie! Teraz albo nigdy o Ojczyznę się naszą upomnieć! Na wszystkich czterech Polski stronach do boju trąbią!

Za broń, za broń!

I pędził tak rycerz wspaniały w tłum i ducha niecił. Zakolebał się naród, Któren jeno serce miał, w którym duch prastary żył jeszcze wołał: — Za broń! za broń! Wielu też do rycerza przypadło pytając: — Ktoś ty mężu, że nam przewodzisz?!

— Jam Polski przyszłej Wódz!!

(Ze szkiców).

Młodziejowice, d. 17. VI. 1918 r.

TRAGIZM POLAKÓW.

W obozie cisza. W równych odstępach migają niepewne światełka, a koło nich przechadzają się warty. We śnie pogrążeni konie i ludzie. Na niebie snują się ciemne chmurki i lekki, zimny wicher unosi spadłe liście. Poza tem nic niezamąca nocnego spokoju.

Wtem zatrąbiono cicho, alarm rozległ się w powietrzu. Za parę chwil stała kompania już pod bronią.

— Baczność! bagnet na broń! W prawo zwrot! — brzmi komenda. Mała kolumna wyruszyła w pole.

Tymczasem wicher zerwał się silniejszy i nagromadziły się ciężkie, deszczowe chmury.

Oddział minął już ostatnie warty i pomaszerował rozmokłą po ostatnich deszczach drogą. A ciężka była to droga! Tu i owdzie tworzyły się bagna, gdzie nogi grzęzły, a woda dostając się przez buty, przejmowała zimnem żołnierzy. Pomimo to szli raźno, z odwagą, mając na myśli ważność swego zadania: jeśli zaatakują nieprzyjaciela w miejscu, gdzie się ich najmniej spodziewa, jeśli dadzą początek ogólnemu szturmowi — to ocalą cały pułk i wydrą się z żelaznych kleszcz niemieckich.

Szli już z kwandrans nie zauważeni przez nikogo, gdy wtem dały się słyszeć pojedyncze strzały; natknęli się już na pierwsze czaty niemieckie. Kompania nie-

odpowiadała im, rozrzuciła się w tyraljerkę i czekała rozkazu.

Deszcz padał coraz większy.

— W tyraljery! — padła komenda.

Schyleni ruszają kłusem naprzód. Armaty jeszcze milczą, ale karabiny nieprzyjacielskie biją coraz bardziej. Na całej linii zionął ogień śmierci.

— Naprzód! na wroga dzieci! na wroga z pod Grunwaldu! — woła młody oficer polski, w rosyjskim, niestety mundurze..

Deszcz leje jak z cebra, wicher tnie ich w twarz, błoto bryzga w oczy, ale oni nic nie pytają. Wszak Polak żołnierz niezwykł się cofać w połowie drogi! Biegną więc, padają na ziemię, gdy rozlegnie się w górze łoskot pękającego szrapnela i pędzą znów dalej, byle prędzej módz skorzystać z bagnetu...

Lecz oto odzywa się mitraljeza: tak, tak, tak... monotonnie przemawia. Śle stal w piersi żołnierzy, stal krwią ich oblewa; padają trupem, a ona śpiewa im hymn pogrzebowy... nieprzerwany... Są już blizko, uderzają na bagnety...

— Hurra!!!

— Jezus Marya! — wypadł okrzyk z dwustu pięćdziesięciu polskich piersi. Z tym samym okrzykiem szli do szturmu, z którym zdobywał Olszynkę waleczny Pułk Czwarty, lecz w jakże innych warunkach... I o dziwo! Karabin maszynowy umilkł nagle... Żołnierze dobiegają okopów... W okopach pustka... Tylko przy kulomiocie leży pięciu żołnierzy z przestrzelonemi głowami, z rewolwerami w ręku...*)

*) autentyczne.

To bracia z Poznania odpowiedzieli na okrzyk ten rodakom z Warszawy... Do swoich niechcieli strzelać. Honor zaś żołnierza polskiego nie pozwolił zdradzić nawet wroga, ale umrzeć wolno im było.

* * *

Nazajutrz pisał rosyjski pułkownik w rozkazie dziennym: »Żołnierze! Zdobywszy tak małą siłą ważną pozycję nieprzyjacielską, dodaliście jeszcze jeden liść wawrzynu do chwały oręża rosyjskiego. Walecznym bohaterom rosyjskim (!) którzy zginęli we wczorajszym szturmie z ręki naszego śmiertelnego wroga — cześć!

Podgaje, Luty 1915 r.

WALKA

»Chociaż nie skończysz — ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło — czeka grób«..
A. Asnyk.

Dwie były równiny, a leżały obok siebie. Jedna w ciągłem słońcu kąpiąca się nazywała się Wolność — druga — w wiecznym pogrążona mroku, nad którą szatani rozciągnęli swe panowanie, miała imię straszne: Niewola.

Granicą był im wał długi, wysoki, tak że ni ciemność niewoli nie mogła zamącić światła drugiej równiny, ani też do obszaru przeklętego nie mogło się dostać błogosławione słońce.

Bóg karząc ludy, lub chcąc ich wiarę wypróbować, oddawał je w moc Szatana — ducha Ciemności, a gdy lud długo tak pokutował i stałym się w modlitwie okazał — dawał im możność powrócenia do szczęścia... Ale pierwej trzeba było zdobyć szańce — granicę między dwiema równinami.

I spojrzał Bóg na naród rycerski a pobożny, który nietylko przez swoje grzechy, lecz przez podłość i wyzysk państw ościennych upadł i dał mu przewodników, aby sobie wolność wywalczył.

Padli pierwsi w szlachetnym porywie. Przyszła kolej i na ich synów. Ci wiedzieli już, że się owoców

swych wysiłków nie doczekają, ale z zaparciem się siebie pracowali i ginęli, bo wiedzieli, że to będzie z korzyścią dla przyszłych pokoleń.

— Nie syny nasze, to wnuki szczęśliwymi będą — mawiali w przygnębiającej ciągle jeszcze niewoli

*
* *

Na dalekim horyzoncie słaby ukazał się blask. Zdaleka dolatywały jakieś tajemne odgłosy: ponury grzmot zbliżał się. Dziwnie się działo na »ciemnej« równinie. Ptaki, umiejące śpiewać tylko melodję udręczenia, na weselszą, acz jeszcze nieśmiałą nutę zanuciły. Powietrze czasem stawało się świeższe. Czasem znowu groźny orkan z błyskawiczną szybkością przeleciał przez okolicę, a za nim wielkie, zbite chmury...

I tak straszno było pod tem wzburzonem sklepieniem, tak ciemno, beznadziejnie, że lud pobożny, czekający zmartwychwstania, zwracał myśl ku niewidzialnemu Bogu, wierząc w moc Ducha.

A oto po chwilowej burzy stała się jasność, a źródło jej było za szańcem.

Żywiej zabiły serca wyczekujących. Porwali się ci, którzy walczyli dla przyszłości. Bój. Sztandar ich, jedno słowo: Wolność - broń: Wiara. Jeden hufiec walecznych wystarczy. Nie ilość rozstrzyga o zwycięstwie.

Pędzą, pędzą, bitwy ogarnięci szałem. Nie zmartwychwstaną dziś, to jutro, ale zmartwychwstaną!

Pożar wybuchnął, ogień zapału.

Szatani widząc powstających, całą moc swoją na

nich skierowali. Setki piorunów z paszcz rozpalonych. Spienione obłoki deszcz błyskawic zsyłają.

Grzmot, jęk!

Naprzód waleczni! na szańce!

Jaki tam blask! Słońce błogosławione! Słońce!

Już są u stóp wału. Trupem padają, ale oni konając wiedzą, że praca ich nie idzie na marne.

Moc szatańska przeważa. Przeklęte fatum nad ludem zawisło. Ściele się trup koło trupa na grzbiecie szańca...

...I skończył się dzień walki drugi...

* * *

Krwawo zaszło słońce na horyzoncie. Czerwone blaski pokryły purpurą pole umarłych. Cisza.

Nad polem rozpiął swe skrzydła Anioł wojny i płynął nad pobojowiskiem. I w miarę, jak się do pobitych zbliżał, tajemna siła wchodziła w konających. Zatrzymał się anioł nad nimi Nagle każdy z nich ręce i głowę do anioła wyciągnął. Zbielałe usta z mocą szeptały:

— Duchu nasz przewodni! gdy my pomrzemy, wspieraj synów naszych; niech oni po drodze z krwi i kości naszych dążą do wolności.

. . . .

I stała się znowu ciemność na długie lata...

I szatan panował...

Aż przyszedł dzień walki trzeci...

I trzeci raz wschodzi krwawo słońce i hufiec zbrojny sercem i poświęceniem idzie na szańce.

Czy ostatni?...

. . . .

Groźnie a posępnie zarazem zaszumiał wicher. A z piersi ludzi rozproszonych płynęła przez ciężkie powietrze pieśń — westchnienia:

My w obcych mundurach
Bez orłów, bez kit
Dla przyszłych pokoleń
Budzić idziem świt.
Smutny dzwonu słychać ton...
Dla nich życie — dla nas zgon!...

Tarnobrzeg, Kwiecień 1917 r.

KUŹNICA.

Była tam kuźnica. Nie zgniotły jej ni wichry pustynne, ni zawieje śniegowe.

A mocen był to dom na burze a pioruny.

Ściany miał hartownem żelazem okute. Okna miał kratami spiżowemi okute, a dach i wiązadła nieugięte.

A w domu tym niezachwianym jak skalna grota, był płomień wieczny — święty Znicz.

Buchał on parzącemi jęzorami do góry, wypełniał wnętrze żarem ziejącym. A koło ogniska umocowany był miech ogromny. Opony miał ze skóry grubej i wytrzymałej. Paszczą ogromną wypuszczał dech, który podsycał ognisko.

W kuźnicy stał kowal. W ręce muskularnej trzymał młot potężny. Dzierżył go silnie w dłoni, drugą ręką kładł na kowadle cenne kawały kruszcu i kuł z nich duszę.

Na wiekowym zegarze, stojącym w kącie domu mijały godziny... A kowal bez opamiętania pracował. Brał młot oburącz, wznosił go, opuszczał z siłą na kowadło, aż zadźwięczało żelaziwo, znowu wznosił, to opuszczał i tak niestrudzony pracował bez przestanku, a kruszec ducha pod młotem jego przybierał kształty coraz szlachetniejsze...

Wzdłuż ścian stało kilkanaście posągów sztywnych, bez ruchu, jakby na krzyżu rozpiętych. A każdy w zbroicy ze spiżu i w hełmie o strusich piórach. A każdy w prawicy trzymał miecz długi, obosieczny i w lewicy tarczę okrągłą. A do stóp kolczaste ostrogi przymocowane były. Kowal podchodził do każdego, dłutem w pancerz uderzał, aż spiżowe pokrywo zadźwięczało. Po otwarciu pancerzów pustka z zewnątrz wionęła, bo wystygłe tylko serca w nich były.

Brał więc kowal z kolei każde zimne serce do ręki, kładł na kowadło, a uniósłszy ręce z młotem w górę, z siłą bił w nie.

A jeżeli ono pękło — widział, że słabe jest, że nie ma siły wytrwać w przeciwnościach.

Dolewał więc spiżu, trochę srebra a złota, by czystsze i szlachetniejsze było.

I tak wykuwał młotem ciężkim serca, a dłutem ostrym rył w nich bruzdy, próbując wytrzymałości

Gdy je ostatecznie oczyścił i wzmocnił — wstawiał w swe miejsca.

Gdy się trafiało serce marne – rzucał je w płomień wieczny, by tam stopiło się i zmieniło w nicość wszystko co nizkie, podłe, płaskie

Mijały godziny...

A gdy zbliżył się kowal do ostatniego posągu i wyjął z niego serce — zobaczył, że wielkie ono i gorące jest.

A gdy je rozpłatał na dwoje, ujrzał, że jest szczerozłote. Spoił je więc na nowo i oddał posągowi.

I rzekł kowal:

— Ja, który wiecznego ognia tradycji tu strzegę

i wielkie posągi narodu odlewam, widzę, że ten ostatni posąg największe ma serce. Ja tchnę w niego ognia i dam mu kryształową duszę...

Gdyż ten tylko zbawi naród, kto wielkiego będzie miał ducha i wielkie serce.

Mąkoszyn, Maj 1917 r.

Z KRWI NASZEJ, Z POTU NASZEGO, POLSKA NASZA...

Nadeszła noc ciemna. Szaruga jesienna ustała nieco. Na niebie przewalały się ciężkie chmury jedna w drugą, jak wnikają w siebie fale morskie.

Czasem rozsunęły się bałwany chmur, a ukazało się na krótko sklepienie gwiazdami zasiane i ostry sierp pierwszej kwadry księżyca. Wiatr huczał i świszczał, gnąc samotne, wysokie sosny, rosnące rzadko tu i owdzie, oszczędzone od topora saperskiego. Sosny pod gwałtownem parciem wichru skrzypiały, kołysały się i dawały obraz ruchu, odbite w powstałych świeżo-bajorach z długo trwającego deszczu. W dali widać było sylwetkę boru, skąd dolatywał majestatyczny szum stuletnich dębów. Gnał stamtąd świeży powiew chłodnej nocy, powiew żywiczny boru, który lekkim podmuchem szedł hen, daleko... ku Wiśle — rzece... daleko z besarabskich stepów, hen, ku łąkom polskim i wioskom...

Odgłos strzałów już dawno posunął się ku wschodowi, a na miejscu walki pozostali na równinie zabici, dla których grobem było mokre podłoże ziemi, a krzyżem skrzypiąca sosna.

Na świeżo usypanej grobli, pomiędzy dwiema kałużami leżał splot zesztywniałych trupów, obdartych, pokrwawionych, w błocie.

A nad nimi stado wron i kruków, niby pogrzebowy korowód kołem unosił się, kracząc złowieszczo. Pomiędzy nieruchomemi ciałami znajdował się człowiek na pół żywy. Tliła się w nim jeszcze słaba iskra życia. Przyciśnięty ciężarem towarzyszów, jęczał cicho. Wydawał głos coraz słabszy, znać było, że ledwo tli w nim życie... A w koło nad nim czarna korona ptactwa krakała złowieszczo...

Leżał na pół nagi, z obnażoną piersią, z głową w tył zarzuconą wyprężony w ostatnich konwulsjach. Z ran w bokach i głowie zadanych spływała krew i żłobiła strumienie w stajałym śniegu i błocie.

Kruki coraz niżej opadały na żer. Zwał splątanych trupów, poszarpanych szmat i leżącej tu i owdzie broni pokrył się rojami ptactwa.

Nagle zatargała się pierś rannego. Na piersi osadził mu się kruk, symbol cmentarny. Muskularne szpony wbił w młode, jędrne ciało i począł dziobem potężnym rwać... rwać...

Ranny wydał jęk tym razem głośniejszy, próbował bronić się. Po długiej chwili z trudem wyciągnął przyciśniętą przez trupa rękę. Chciał odegnać wstrętne, grozą przejmujące zjawisko z piersi. Zuchwały ptak wytrzeszczył ślepia, niby duże czarne główki od szpilki, zakrakał cicho i począł znowu szarpać odrętwiałego żołnierza. Wytężył siły: chwytał z błotem zmieszany mokry śnieg i rzucał w ptactwo z dziką pasją, z goryczą i wstrętem, z nienawiścią do tych czar-

nych, grobowych włóczęgów. Szum czarnych skrzydeł uniósł się w powietrzu.

— Ratunku! ludzie!... jęknął cicho i głos zamarł. A w odpowiedzi słyszał dalekie echo i ponure łopotanie skrzydeł nad sobą, niby skrzydeł stu szatanów...

Samotne sosny zakołysały się mocniej. Zdaleka dochodziły odgłosy armat, podobne do basowego akordu organów kościelnych. Szedł ten grzmot cichy, tajemniczy przez łany, obijał się o las i tonął gdzieś w sklepieniu nieba.

Ostre dwuroże księżyca wyłoniło się znowu z za chmur. Płynął księżyc po bałwanach niebieskich spokojnie, majestatycznie i oświetłał martwem światłem pobojowisko.

I w miarę jak się wznosił, sylwety umarłych rysowały się coraz wyraźniej. Twarze ich pokrzywione niemiłosiernie, to znowu spokojnie uśmiechnięte, nogi i ręce w śmiertelnych splotach, zesztywniały w strasznym wrogim uścisku. Z rozpłatanych głów, rozwartych brzuchów unosił się jeszcze mdły odór wnętrzności. Niespokojne ciągle ptactwo wznosiło się i opadało z cichym, złowieszczym pokrakiwaniem.

W tem ranny zauważył wyłaniający się z ciemności wózek; jechał na przełaj pola. Koniki małe grzęzły w błocie, koła ryły się. Na bryczce siedziało trzech ludzi. W tyle człowiek w mundurze, znać było, że oficer. Na ramieniu miał krzyż czerwony. Na przodzie siedział woźnica i żołnierz z karabinem. Woźnica oglądał się ciągle trwożliwie na pobojowisko, żegnał się zabobonnie i popędzał konie monotonnym okrzykiem: thuu, ahu!...

Przejeżdżali już niedaleko rannego. Ranny podniósł się o ile tylko mógł na zdrowej ręce i omdlałemi ustami, jęcząc boleśnie, wołał jadących.

Powożący chłopak przestraszony tym nawoływaniem, podciął konie i ruszył ostrym klusem. W tem oficer kazał mu stanąć. Sam podniósł się i zaczął nadsłuchiwać Poznawszy miejsce, skąd głos dochodzi, zszedł z bryczki, nabity rewolwer wziął do ręki i kazał żołnierzowi postępować za soba. Przeskakiwali zabitych zręcznie, cicho, jak rysie włóczące się po nocy. Dostrzegli wreszcie ruszającego się między nieżywymi rannego. Doktór oświecił go elektryczną latarką. Dostrzegł straszliwie potrzaskaną, odkrytą pierś, obezwładnioną rękę i mundur, podobny raczej do zmiętoszonej, krwawej szmaty.

Ranny jednem przymrużonem okiem, które zaszło bielmem, z jakimś dziwnym, smutnym wyrazem na twarzy, przypatrywał się przybyłym.

— Czy austrjacki mundur? — spytał oficer żołnierza.

Żołnierz nachylił się nad leżącym.

— Nie, to nie nasz, panie poruczniku, to niemiecki.

W tem ranny poruszył się słabo. Otwarł szeroko oczy i spojrzał na oficera.

— Panie... — wyjąkał ledwo dosłyszalnym głosem.

— Polak? szepnął ucieszony oficer. Uklęknął przy rannym i zaczął go badać.

— Czy zapisano mi śmierć czy życie? szepnął ranny.

Doktór obejrzał potrzaskane piersi, głowę, sączącą się krew z ran.

— Śmierć — pomyślał, lecz nie dał głośnej odpowiedzi.

Po chwili spytał:

— Byli z wami Polacy w wojsku niemieckiem w tej bitwie?

— Oh są, dużo ich jest. Ja chciałem już dawno do naszego, do... polskiego... Nie dali... Kazali w pruskim mundurze bić się, ginąć jako prusak. — Zamilkł. Doktór badał mu tymczasem głowę.

— I teraz... — ciągnął dalej ranny — umrzeć trzeba, jak jaki szwab, jak prusak, a na własnej, polskiej ziemi... A jednak chciałoby się w legjonach umierać...

Słabł. Wymawiał słowa coraz niewyraźniej. Wypadały mu z ust wyrazy urywane, bez znaczenia — majaczyć zaczął w malignie.

— Nie — rzekł oficer — choć wy w obcem wojsku, pod obcym znakiem giniecie, nic to... bo z krwi waszej, z potu waszego, pod obcym mundurem — Polska wasza!

Prawie z zapałem wykrzyknął doktór te słowa i uścisnął serdecznie, bratersko, rękę rodaka. Było to milczące porozumienie się dwu jednostek, z pod obcych sztandarów, jednostek o wspólnem sercu!

Doktór wstał z ziemi. Łzy gorące pociekły po jego męskiej twarzy, bruzdami twardego życia żołnierskiego pokrytej...

Wziąć go na wóz! — dał rozkaz żołnierzowi.

Mąkoszyn, Maj 1917 r.

MARSOWY PTAK.

(Autentyczne).

Obiad — ważna chwila w dniu, dla każdego wojaka rakuskiego. Jakaż to rozkosz siąść za gdzieś »zarekwirowanym« stołem i po całodziennym czasie strawionym na szukaniu kozaków w szufladach, kasach i spiżarniach — napełnić pusty żołądek i wzmocnić go, by podtrzymywać siły i dowcip strudzonego żołnierza. Lecz nie myślmy że pojawia się tam »chamski« barszcz rosyjski; nie — na to mu nie pozwoli żołądek, w którym siedzi cała kultura zachodnio-europejska. Może trudno w to uwierzyć; nie dziw, u nas objawia się ona inaczej. Ale ujrzysz tam piwną zupkę, czarną kawę (której tyle co Turcy pijają) lub wreszcie wino z najbliższej piwnicy. Mają także mocny koniak, który podług nich dodaje odwagi i do wytrwania w okopie. Gdyby nie ten zbawczy trunek, byliby zmuszeni robić nieprzyjacielowi impertynencję, odwracając się do niego plecami.

Lecz porzućmy złośliwe uwagi, bo oto w powietrzu dał się słyszeć samolot. Żołnierze jakby pierwszy raz ujrzeli marsowego ptaka, otworzyli szeroko oczy, bezmyślnie gapiąc się.

— Feuer! krzyczy oficer. Przecież żołnierzom nie skoro usłuchać rozkazu. Niechętnie odkładając łyżkę,

wstawali po karabiny. Tymczasem samolot nieprzyjacielski spokojnie zbadał pozycję i powrócił do swoich. Oficer zaś wielce zagniewany chce karać za opieszałość żołnierzy.

— Jak było strzelać, kiedy zupa stygła — odzywa się naraz jeden z żołnierzy.

Byli to Czesi — muzykanci...

Mąkoszyn, w styczniu 1915 r.

DWIE DUSZE.

Zabawa nie szła. Goście schodzili się powoli i pojedynczo. Kolejno przystępowali do kasy, przy której jeden z kolegów zbierał składkę. Pierwsze godności gospodarskie mieli starsi godnością członkowie Koła artystyczno-literackiego, bo nasz to przecie był wieczór. Z czasem, po jakiejś godzinie zaczęła się sala »Zjednoczenia« wypełniać. Zaczęto wiązać rozmowę. Panien mało. Jakby zmówiły się, przychodziły nielicznie, nie grzeszące zresztą urodą ni wdziękiem. Rozmowa rwała się. Panie rzędem usiadły na krzesłach, ustawionych pod ścianą. Panowie zbierali się grupkami po kątach mieszkania, rozmawiając na różne tematy.

Wczoraj właśnie poznałem się bliżej z kolegą ks. Radziwiłłem. Rozmowa między nami zeszła na temat twórczości literackiej. Podobają mi się jego utwory. Są to wiersze zw. przezemnie »rycerskimi«. Pełno w nich życia i majestatu. Przesiąknięte są jednak Wyspiańskim.

Gdy powiedziałem mu, że mnie najbardziej sprawa wyzwolenia Polski zajmuje i że w tym kierunku usiłuję rozwinąć mój talent — spytał mnie, czy jestem w tym wypadku »niepolerowany«. Rozumie to tak, czy przekonania moje są śmiałe i bezwzględne. Odrzekłem mu, że tak. Wtedy uścisnął mi rękę — nie wiem, czy to radość miało oznaczać, dość, że uczynił mojej pro-

pozycji zadość obietnicą, że mi pokaże swoje prace. Mówiliśmy jeszcze krótko o kilku mniej lub więcej zajmujących rzeczach, jak o pobycie jego w Rosji, o Calderonie i o Słowackim, o zadaniach polskiej poezji i prozy i t. d. Wyraziłem zdanie, że hasło: »sztuka dla sztuki« w Polsce zaszczepić się nie da, że hasło skądinąd pożyteczne dla sztuki w Polsce, przynajmniej na razie, niema racji bytu, gdyż tylko narody niepodległe, którym nie grozi niebezpieczeństwo na to pozwolić sobie mogą. Naród nasz zanadto ma wytężoną uwagę w kierunku obrony własnego życia, a więc utrzymania się obok innych, silniejszych narodów. Moje hasło to: »Naród ratujmy od upadku przedewszystkiem przez dążenie do niezależności, a gdy to nastąpi, damy zupełną wolność naszej sztuce. Przytoczyłem myśl Szczepanowskiego, która trafia mi do przekonania:

— — — — — — — — — — — — — —

Dotychczas musi być sztuka tendencyjna, bo czyż mamy dużo innych rodzajów broni? Nie poznałem dotychczas na tyle Krzysztofa Radziwiłła, bym mógł sądzić jak się na to zapatruje, nie odpowiedział mi bowiem nic. Na początku rozmowy, gdy mu przedstawiłem mój program życia i walki narodowej, odrzekł mi, że ma pojęcia nieco inne od moich, ale się mimo to bardzo mojemi zajmuje. Skończyliśmy rozmawiać, bo ktoś zagrał na fortepianie. Wnet rozruszało się towarzystwo. Jaki taki brał pannę i zawijał oberka lub walca. Radziwiłł, prezes Nowosielski, ja i dwaj księża nie tańczyliśmy.

Gdy tak szła zabawa, nagle od strony przedpokoju wpadł »promyk« jak w głębi duszy (jeszcze wtedy

nie serca) ją nazywałem. To p. Zofia, urocza, szczupła blondynka, zawsze wesoła, zawsze uśmiechnięta...

»Promyk« wszedł, srebrnym głosikiem powitał zebranych, powiódł w koło niebieskiemi oczyma i wnet wziął się do tańca. Ach! jak z nią dobrze byłoby potańczyć!... Ale czy mogę ją nudzić i prosić, gdy walca nie umiem, bo nie znoszę tego martwego, na trzy takty kręcenia się w kółko.

Podali kolację. Szły torty i ciasta, płynęła swobodna, młodzieńca rozmowa. Gwar szumiał w sali — — —

Lecz nagle cisza. Wstał ksiądz i zaczął odczytywać swoje nadzwyczajnie dowcipne satyry. Między innemi i Promyk był doskonale scharakteryzowany temi słowy:

»Czy to jest z baśni królewna
lekka powiewna?
Duszą jej włada Anhelli
bieli, popieli...
I duch się wciela w nią z mytu
pełen zachwytu.«

Jak pięknemi słowy ją określił? Jak dobrze!

I tak wesoło przeszła kolacja.

Znowu jakieś zbłąkane akordy rozległy się w drugim pokoju. Pary wstawały. Jedna i druga para okręciły się w koło — poszły inne. Puścił się i Radziwiłł niezgrabnie, jak kaczka opadając z nogi na nogę, puściłem się i ja. Wszystko szło w tan. Nawet ksiądz przytupywał nogą do taktu, a tak zamaszyście, że już i do mazura chciały go panny prosić.

Walc wpadł w melodję mazura. Goście jeszcze stali.

P. Zofia była na uboczu. Ach! podejdę do niej, poproszę.

— Bałem się panią prosić do walca, by jej nie znudzić niezgrabnym tańcem.

— »Czym taka groźna?« — spytała naiwnie i wesoło, a pierś jej falowała ze zmęczenia pod powiewną jak mgła bluzką — »no niech mię pan prosi to pójdę i podała mi ręce«.

Mazur ruszył całą furją. Biją obcasy w posadzkę, posady drżą, okrzyki coraz to większe, namiętniejsze — — —

Pędzi zawierucha w koło, już bez opamiętania. coraz wściekłej. Troska uciekła. Radość życia przepełniła serce znękane, radość chwilowa, przychodząca z szałem nagle, ale też prędko znikająca...

Hej, złudzenia! — — —

Skry się wciąż sypią z podłogi, grają nerwy młodych. Pędzę w ogólnym wichrze, trzymam cudną kibić p. Zofii, jej śliczną uroczą figurę. — — — Wycinam hołubce, przyklękam, to znowu zbliżę się i ścisnę ją mocniej w zapale, aż wiew gorący mnie obleci — — —

Hej mazur, mazur! — — —

Długo trwał taniec, zmieniały się figury naprzemian bez końca. Wreszcie zmęczeniu ulegli goście. Tempo osłabło, nawet fortepian rozlegał się ciszej. Pary zaczęły się rozłączać. I znów na zakończenie walc popłynął.

Zamieniłem kilka dam, patrząc ciągle, choć z daleka na p. Zofię

Ale dlaczego ona tak ciągle z Radziwiłłem przestaje?

Taniec ustąpił zabawie. Przyszła kolej na »kotka i myszkę«. Dlaczego jednak gdy Radziwiłł był kotkiem, ona koniecznie chciała być myszką? Pytanie to zaczęło mnie niespodzianie dręczyć.

Z godzinę plotły się różne zabawy, a po kątach panował lekki, subtelny flirt salonowy, przesycony tym humorem, wykwintnością i inteligencją, jaka cechuje członków Koła. Bawią się wszyscy dobrze, a Radziwiłł i p. Zofia zawsze razem. Coraz słodszy uśmiech, pieszczotliwsze słowa — — — Ach! czemu ona jego właśnie wybrała za temat swego szczebiotu? Czyżby jej nazwisko imponowało — a może — — —

Ech po co myśleć. W jakim kontraście byłyby te nizkie ambicje do jej anielskiej postaci!

Stała w drzwiach prowadzących z przedpokoju do sali. Przed nią ja i Radziwiłł i kilku innych kolegów. Na wyścigi ubiegaliśmy się o jej spojrzenia. A jakże hojnie niemi szafowała!

W ślicznych opalonych rękach trzymała sznur pereł, zdjętych z szyi. Bawiła się niemi przerabiając nerwowo w palcach ziarnka po ziarnku. Nagle pękła struna i perły posypały się po ziemi.

— »Co za piękny motyw do dramatu« zawołał ksiądz S. widząc jej nieziemską postać i lica lekko przestraszone na widok rozsypanych pereł. Jeszcze chwilę słychać było zachwyty — czy to prawdziwe, czy tylko dla flirtu, ja jednak wraz z innymi zbieraliśmy gorliwie perły i oddaliśmy do rąk właścicielki. Lecz wręczając jej, wziąłem jedną i patrząc jej prosto w oczy spytałem, czy mogę zachować tę perłę na pamiątkę.

Nie wiem co w moich oczach było, czy może szczerość świeżo wylęgniętego uczucia, czy miłość, czy iskry, dość, że naraz spojrzała na mnie inaczej, głęboko, poważnie i dała mi perłę

I nagle buchnęła srebrnym przejmującym serce śmiechem i rzekła:

— »Ale proszę dobrze schować i nie zgubić, bo za trzy tygodnie zapytam o nią«.

Rzekła to głosem naiwnym, w którym czuć jednak było jakieś drżenie i serce i coś, co nie da się określić, ową jakąś głębię duszy, którą mię wówczas bezwiednie ujęła Poczem poruszyła głową filuternie obwiodła mnie spojrzeniem takiem anielskiem z jej niebieskich oczu —

Eh, poeto! — — —

Dla Radziwiłła była ujmującą —

Dla mnie uprzejmą.

— Radziwille! szczęśliwyś!

Skąd to uczucie zazdrości we mnie się wzięło? Czy ją więc kocham? — na to pytanie nie mogłem sobie odpowiedzieć. Przecież właściwie ją dopiero wczoraj na zebraniu piątkowem poznałem.

Dopiero wczoraj — —

A dzisiaj co mi się stało? -

Wiem tylko, że gdy huczy zabawa, smutek mię ogarnia gdy z nią nie mówię, gdy na mnie nie spojrzy — — —

Przecie się prawie nie znamy — — Kto ona jest? Jaką ma duszę? —

A może to wzajemna telepatja dusz?

Może Promieniści mieli słuszność? Jakiś dziwny

silny magnes ciągnie mnie Czuję bliskość pokrewnej mi a tak dla mnie tajemniczej duszy — —

O niczem nie wiem, nie znam jej, czuję tylko jakąś ciążącą nademną siłę — —

Tak wczoraj myślałem.

Ktoś zaproponował wycieczkę na błonia, albo na Wawel. Zrazu panie trochę się z nami sprzeczały, tłumacząc, że nie wypada, wkońcu po różnych gwarancjach z naszej strony, projekt przyjęto jednomyślnie i postanowiono iść w kierunku błoń. Niektórzy rozeszli się do domów, uszczuplona więc nasza garstka schodziła po ciemnych schodach, by dostać się na Rynek.

Chłód był. Elektryczne kule martwe rzucały światło na bruki, które odbijało się od krzyżujących się w rozmaite strony szyn tramwajowych. Dziwnie brzmiała rozmowa w wesołym tonie utrzymywana wśród tych ulic pustych i cichych. Nikogo nie było, tylko w ganku na odwachu stał jeden jedyny żołnierz w żelaznym hełmie i dziwił się może naszej kawalkacie.

Spojrzałem na zegarek. Była trzecia po północy. Skręciliśmy ku błoniom.

Koło p. Zofii szedł nieodłączny Radziwiłł, dalej ja. Radziwiłł chciał się koniecznie wymknąć niespostrzeżenie do domu Zofia jedna przytrzymywała go. Gdy jednak coraz stanowczej zaczął się sprzeciwiać dalszej wycieczce, a wszyscy wyprzedzili nas kawałek drogi, tak, że zostaliśmy sami we trójkę — pociągnąłem za rękę p. Zofię i ruszyliśmy w stronę towarzystwa, on zaś pozostał chwilę i zawrócił do domu.

P. Zofia trochę była zła z początku na niego, a może nawet trochę obrażona.

»Opuścił« — a »niech sobie idzie« — rzekła tonem smutnym. Chciałem ją spytać w tej chwili, czy jej tak zależy na Radziwille i już już miałem to na końcu języka, gdy powstrzymałem się. Ambicja moja nawet przed sobą samym nie pozwalała mi na uznanie się za pobitego. Szliśmy znowu wszyscy razem, ja jednak tuż przy boku p. Zofii, niosiąc jej nuty, ulubionego Griega i wiązankę bzów z zabawy. I tak rozmowa stała się zupełnie swobodną, przeplataną często lekkim śmiechem. Ja ją bawiłem najwięcej rozmową, byłem bowiem wtedy jej chevalier de compagnie.

»Nie zgubił pan jsszcze perły?« spytała patrząc mi prosto w oczy.

Za rok, za dziesięć, przy śmierci mojej pokażę ją pani! odrzekłem gorąco, prawie namiętnie. Zanurzyłem twarz w białe wielkie bzy i wdychałem silny ich zapach

»Zimno mi« usłyszałem cichy szept z jej ust.

Pospieszyliśmy ją czem okryć. Ja pierwszy ściągnąłem moją zarzutkę i chciałem jej dać.. Nie przyjęła. Starałem się przekonać ją, że niema sensu narażać się na zimno w tak lekkim żakiecie. Wtedy zaczęliśmy się gonić. Ubiegłem za nią kilkadziesiąt kroków, a ona zobaczywszy grube drzewo skryła się za nie i tak drzewem przedzieleni przedrzeźnialiśmy się żartem.

»Brawo, brawo!« zawołała reszta towarzystwa widząc to.

»Wie pan co — ścigajmy się, to będzie nam cieplej«.

Chętnie przyjąłem tę myśl. Znowu o kawałek drogi oddaliliśmy się od ludzi. Chciałem tego — — Byłem z nią sam, mogłem swobodniej rozmawiać.

Zbliżaliśmy się do pasma wzgórz. U stóp ich rozciągała się nizko pełzająca mgła... — Z dala widać było samotny wierzchołek kopca Kościuszki i rzadko, gdzieniegdzie migotające latarnie.

A nad nami był srebrny księżyc w pełni.

»Czy nie uważa pan, że wchodzimy w mgłę?« — spytała.

— A pani wygląda w niej jak królewna lekka powiewna.

»Tak, chciałabym być królewną« — — i zamyśliła się.

— Nic łatwiejszego — rzekłem — znaleźć sobie tylko królewicza jakiegoś.

»Ja wolę pazia złotowłosego« — —

Nastąpiła cisza. lecz niebawem otrząsnęła się z zadumy i mówiła:

»Nie, nie znajdę sobie królewicza. Na ziemi są tylko zwyczajni ludzie, a ja kocham tylko ideały i piękno«.

— Bezwzględnego piękna niema na świecie... —

»Tak Trzeba będzie się kiedyś mniejszymi ideałami zadowolić. Ten człowiek jednakże, który będzie dla mnie takim małym ideałem, musi być prawie świętym«.

— I tych niema na świecie —

Nic na to nie odrzekła. Milczała znowu chwilę, poczem zwróciła się nagle do mnie:

»Prawda, panie Januszu, że ja nie wyglądam na poważną?«

— W towarzystwie jest pani bardzo wesoła —

»Eh, w towarzystwie — — Widzi pan to jest tylko maska, bo jakże psuć ludziom humor swoim smutkiem?«

Ja jestem bardzo poważna — — Pan prawdę powiedział: świat jest brzydki, potworny — — Już dziewiętnaście lat oglądam go takim. Dlaczego pan patrzy na mnie tym dziwnym wzrokiem? — żem młoda? — Niech pan nie przeczy — widziałam zło, widzę tylko smutek wszędzie« — — —

I tak szczebiotała, a był ten głos podobny strunie grającej, lub jakiejś dźwięcznej dumce ukraińskiej. Śliczna w tej mgle jakby nie ze świata, ale jak zjawisko jakieś.

»Prawda — zaczęła znowu — powiedział pan, że pracuje nad prozą polską. Zauważył pan, że te dzisiejsze powieści są chore? Niech pan weźmie Zapolską do ręki. Jakie to wstrętne — — Żeromski« — —

— Żeromski odsłania nam tylko prawdę życia, nie ubiera ją w różowe szaty.

»Ale zbyt gwałtownie odsłania nam to życie, poco pozbywać złudzeń« — —

— Pani jest marzycielką? —

»Tak marzę. Choć mówią, że tylko głupcy marzą«.

— Przedewszystkiem tylko dusze wzniosłe —

Nie zwróciła na to uwagi. — Po chwili zaczęła:

»Jestem bardzo wrażliwa i smutna. Mój śmiech, to śmiech przez łzy, tylko, że moich łez ukrytych nie widzą — i dobrze —

Znowu milczenie zaległo między nami.

Nagle zwróciła się do mnie i zapytała głosem takim miękkim i przejmującym:

»Czy pan ma zaufanie do mnie?« — —

— Mam pani bezwzględne, a na dowód powiem — lubię na panią patrzeć i to sprawia mi niezwykłą przy-

jemność bo pani przedstawia typ, którego już dawno bezwiednie szukałem.

»Więc niech pan pokaże — rzekła — swoje utwory«. Czuję, że podobne mamy upodobania. A ja panu poczytam Anhellego, to moja najumiłowańsza lektura. To błąkanie się — wie pan ja nie lubię jasnej drogi — lubię się błąkać. Dlatego studjuję ciągle Griega. Dawniej grałam masę. Teraz błądzę tylko po klawiszach i słucham melodji cichej. Dlatego lubię Kraków. Urodziłam się tu i wychowałam. Tu taki spokój — — Miłuję ciszę a jeśli ma być burza, to już taka, by mnie porwała — — — Czasem potrzebna jest i burza — — Przepraszam, że tak bez ładu mówię, ale czasem dusza tak mi wzbierze, że nie mogę wypowiedzieć wszystkiego. Ale czy pan się boi nieszczęścia?

— Nie, nawet cierpienie ciągnie mnie swoim urokiem W nieszczęściu dopatruję się tylko piękna, bo jeżeli ono jest, to tam występuje najsilniej.

»To pan musi widzieć dużo piękna we mnie, bo ja jestem strasznie zła«.

Czułem, że to drugie było nieprawdą, powiedzianą dla żartu

»Niech się pan z dala odemnie trzyma, bo mam ostre zęby i parzę jak pokrzywa« — i pokazała mi swe dwie piąstki w białych rękawiczkach.

W takim razie chcę i proszę o poparzenie.

»Niech pan cierpliwie czeka — a kto wie, może ja pana już parzę?« — —

Powiedziała to tak naiwnie, nie wiem nawet czy rozumiała znaczenie słów.

»Powiem panu coś — do mnie się trudno przy-

wiązać, duszy mojej nie otwieram nikomu. Kto się jednak do mnie raz przywiąże, ten odemnie już nie odejdzie. Ludzie sądzą z powierzchowności — uchodzę za wesołego trzpiota. Inna jestem w rzeczywistości. Co mi leży na sercu tego nikomu nie mówię, bo jestem ogromnie dumna. Bardzo jestem dumną, ale nie w tem złem znaczeniu — inaczej. Mam dużo ambicji i osobistej godności. Choruję także na manię prześladowczą. Ciągle wydaje się mi, że ktoś chce mi ubliżyć i dla tego boję się ludzi.

Ktoby takiemu aniołowi ubliżał pomyślałem a głośno: A może się pani mnie boi? proszę nawzajem o zaufanie.

»Inaczej nie mówiłabym panu tego wszystkiego«. »Widzi pan dla ludzi mam tylko maskę — — Kocham namiętnie piękno, ale piękno nie tego życia marnego. Marzę by zginąć kiedyś śmiercią Ellenai i jako duch ujrzeć szczęście pozaświatowe. Niech się pan nie dziwi i nie przeczy; to, co mówię, czuję głęboko«.

Znowu zamyśliła się na chwilę. Cisza była taka, że słychać było bicie jej serca. Po chwili mówiła dalej głosem przytłumionym:

Od Zofii nazywają mnie »Zorzą«.

Ale poranną? powiedziałem byle coś rzec.

»Nie. Właśnie wieczorną i to zachodzącą.

A ja tymczasem myślałem co znaczyć mają jej słowa przerywane, na pozór bez związku. I spostrzegłem, że jest to cichy śpiew niepospolitej, ale skrytej duszy. A dalej pomyślałem sobie skąd ona ma tyle zaufania do mnie, że ledwo mnie poznawszy serce mi swoje odkryła. Widocznie odczuliśmy siebie wzajemnie,

i więcej, bo znalazłem w niej to do czego lgnie dusza moja: anielskość. Dlatego przyszło mi na myśl, że w tak krótkim czasie, zobaczyłem kilka szlachetnych odruchów, które świadczą o jej bezgranicznej dobroci: jak żałowała, że będąc zmęczoną odmówiła tańca jednemu z panów, jak pytała drugiego czy nie czuje do niej żalu za zbyt podług niej, jej »ostre« słowa, jak mnie się coś podobnego pytała — —

— Zofio, Zofio i tobie to mówić o trumnie, choćby o szklanej dla Śnieżki? Tobie o życiu myśleć, o świecie. Czemu tym głosem przeciągającym melodyjnym tak smutnie i rzewnie śpiewasz? Czemuś taka smętna? Wyglądasz jak to słońce przez pryzmat puszczone. Dusza twoja rozkłada się przedemną na kolory tęczy.

Szliśmy sami w milczeniu w kierunku ulic. Ja znowu zatopiłem się w myśli Podziwiałem duszy jej subtelność, jej takt i wychowanie, jej serce bezgraniczne, dobre serce! Tak, nie mówiąc do niej słowa, szedłem obok. Wtem spojrzałem na nią w upojeniu. Szła w srebrnej od księżyca mgle: nie słychać było jej kroków. Cudna eteryczna postać płynęła nad ziemią niby wizja nieuchwytna. Odwróciła się do mnie. Miesiąc oświetlał jej kasztanowate włosy wymykając się z pod zgrabnego kapelusza. Opalowe lica przyoblekły się w delikatne rumieńce pomimo nocy chłodnej, a jej modre oczęta patrzyły na mnie jakąś dziwną nieodgadniętą tonią. Z ust delikatnych szła słodycz, a twarz cała przybrała charakteru mistycznego — —

Hej święta ty!

Zofio, Zosieńko ty!

I nie mogłem oderwać oczu od wcielonej piękności anioła, a serca od jej ślicznej duszy.

Wracaliśmy w ulice cichego miasta całem towarzystwem. Ona prosiła by ją wszyscy z paniami odprowadzili do domu, by »tatuś« i »mamusia« słyszeli, że nie idzie sama i może dlatego nie wezmą jej za złe, że tak długo była na wieczorku.

Boi się pani ojca? — spytałem.

»A jakże — tatuś będzie mówił kazanie, a ja przez cały czas będę musiała stać na baczność«.

Powiedziała to takim głosem, jakby powiedziało to małe dziecko. Bo jak z jednej strony powaga z jej duszy biła, tak z drugiej niewinność.

Odprowadziliśmy ją aż do bramy, a ja na pożegnanie długo ściskałem jej rękę — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Szedłem sam, Kolegów pożegnałem, byle nie iść w towarzystwie. Potrzebna mi była samotność, by upajać się tym błogim dopiero co minionym snem. Odgłos uderzenia obcasów o bruk rozlegał się głośno. Szedłem prędko w kierunku domu Porozwieszane na drutach elektryczne kule lamp świeciły martwo, a z domów padały ostre cienie na ulice. Cicho było. Ani żywej duszy.

A ja myślałem — — —

Co to było? czy kocham? Wszak dotychczas byłem taki szczęśliwy, bo żadnej nie kochałem!

Ach! wiem! Znalazłem w świecie duchów taką jedną duszę, do której długo tęskniłem. Taką, która mnie rozumie i odczuje, a przy tem znalazłem tam wielkie serce, którego nigdzie dotychczas nie widziałem. I w tej chwili przyszła mi na myśl, że są ludzie którzy

nie czują, a jednak są w swojej nieświadomości szczęśliwi i spokojni. Zazdrość mnie codziennie bierze, gdy widzę ludzi, szczególnie młodzież wesoło bawiącą się bez troski.

Dlatego, że mniej czują...

I to prawda. — Widzę to po niej i po sobie. Dlaczego ja i ona mając wszelkie warunki po temu, nie czujemy się szczęśliwi? Bo nas gnębi to samo.

Jaka ona podobna do mnie. Nie wiedziałem, że znajdzie się na świecie osoba do mnie podobna — —

I znowu zwróciłem się myślą do Stwórcy i zapytałem się Go po raz nie wiem który, czemu dał mi duszę smutną. Czemu każe się dopatrywać piękna w smutku i nieszczęściu? Prawda: piękne są drzewa w jesieni, ów symbol spokoju i szczęścia, ale również piękną jest burza i pożoga. Równie piękna może być śmierć na polu walki, jak i śmierć cicha suchotnika. Dał mi Bóg lirę taką, przy której tylko ból śpiewać można, niestety tylko ból! A ja tak tęsknię do liry wesela — — — Widzę tylko gorycz na świecie i ludzie widzą we mnie gorycz, a ja jak więzień w ciemnicy czekam słońca — — Dlaczego w tak młodym wieku już mi się zło i cierpienie moralne w oczy rzuca?! — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W tych rozmyślaniach jeszcze długo błąkając się po mieście, nareszcie doszedłem do bramy mojego domu. Zadzwoniłem

Za chwilę byłem już w moim pokoju.

Na dworze świtało.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Kraków, 27. kwietnia 1918 r.

SŁOWO WSTĘPNE

NA WIECZORZE MŁODZIEŻY KU UCZCZENIU HEN. SIENKIEWICZA W SANDOMIERZU DNIA 5 I. 1917 R.

Co przeżywa naród, nad czem on cierpi i czem się raduje, to jak w zwierciadle odbija się w duszy młodego pokolenia, to tysiącznem załamaniem światła rozumu rozczepia się w sercach młodzieży, a młodość przecie jest życia rzeźbiarką, »co wykuwa żywot cały«. Dlatego ostatnie wydarzenia zostawiły tam ślad niestarty, dlatego krzyk duszy narodu, tam także donośnem odezwał się echem.

Przyszliśmy więc dzisiaj być echa tego odzewem. i gdy nie stać nas na oddanie hołdu godnego wielkości Sienkiewicza, to jednak poświęcamy tych kilka chwil, by chociaż w małej części, choć nieudolnie może, ale serdecznie uczcić Jego zasługi i dla siebie naukę zaczerpnąć. »Biada tym, którym nic nie dają groby, oprócz żałoby«...

* *
*

Zeszedł ze świata duchowy wódz dwudziesto ośmiomiljonowego narodu. Stracili Polacy olbrzyma, który już dawno nie miał równego sobie. — Bo to już nie był tylko pisarz-poeta, ale wielki potentat dusz, wielki

gorącą miłością Ojczyzny, brat starszego, ojciec młodszego pokolenia.

Sienkiewicz należał do tych nielicznych, którzy zawsze wysoko dzierżyli sztandar narodowy. I rzekłbyś, że całą krew swoją, wszystkie uczucia swoje chciał wlać w tę biedną, sponiewieraną ziemię, a tak dawniej potężną. Cały swój talent twórczy oddał narodowi, by pohamować wpływ ludzi złych, by ocalić nam duszę i nie dać ugrząść w błocie hańby, w zapomnieniu świętych praw narodowych — tej »jednej matce-ojczyźnie miłej«.

On to najskuteczniej podczas ucisku po roku 63-im ratował duszę polską od zgubnych wpływów szkoły rosyjskiej, a gdy szkoły obce uczyły Polaków gardzić swoją przeszłością — On wykazywał nam jej chwałę.

Gdy nam coraz obojętniejszy stawał się język ojczysty — On wydobył z lutni rodzinnej cały czar mowy, całą jej piękność i zwrócił serca nasze swoją silną indywidualnością do harfy Krasińskich, Mickiewiczów, Słowackich... I uderzył w tę harfę i wydobył z niej przepiękną melodję słów z cudowną plastyką i siłą.

Był czas, kiedy krytyka europejska niedoceniała naszej literatury. Francja wbrew dawnym tradycjom, ze względów politycznych z oziębłością przyjmowała utwory polskie. Więcej już zrozumienia dla naszego piśmiennictwa znajdowało się w Niemczech, pomimo tego, że Sienkiewicz parokrotnie, a zwłaszcza w »Krzyżakach« ostro zaznaczył zgubne dla nas parcie germanizmu na polski żywioł. W Rosji za to zdawna literatura polska była poczytną, więc »Trylogja«, zawierając dużo pierwiastków słowiańskich i, że tak powiem —

wschodniego rozmachu, wprowadziła Sienkiewicza do serca tego narodu; stał się on tam bodaj najbardziej miłym autorem.

Bramy obojętności zachodniej Europy rozbił Sienkiewicz nieśmiertelnym dziełem »Quo Vadis?« które mu dało obywatelstwo na obu półkulach. I Francja i świat cały rzuciły się do czytania tego romansu z epoki prześladowania chrześcijaństwa, wielbiąc wielkiego syna Polski. Za pośrednictwem więc głównie Sienkiewicza literatura polska stała się znowu powszechnie znaną.

A jakie znaczenie mają dzieła Jego dla nas?

Dzieła Jego to nasza prawdziwa skarbnica, z której czerpiemy duchową siłę. My kochać musimy te postacie »Trylogji« i »Krzyżaków«. Czyż nie są one typem naszych pradziadów? Ta sama krew, te same kości są w ciałach naszych, synów wielkiej sarmackiej ziemi. To nasz pra-typ, nasz ideał, nasz symbol — ten rycerz polski.

Nam te bohatery, których Sienkiewicz w swej czarownej księdze, niby Matejki malowidła, niby nieziemskie rzeźby o ostrych i szlachetnych konturach utrwalił — nam te postacie zostawiły wielką spuściznę.

Ich czyste serce w nas wlać się powinno. Ich miecz nasza ręka dzierżyć powinna. Jak ono rycerstwo z Krzyżactwem, Moskwą, Szwedem, Turkiem i Tatarem walczyło, tak my, mając w tradycji miecz Podbipięty, odwagę Kmicica, zręczność Wołodyjowskiego, powinniśmy stać na straży kresów polskości, nie dać łupić tej świętej ziemi i ile nam sił, ile mocy starczy ratować naród rozdzielony terytorjalnie i moralnie od potopu nieszczęść; nie lękać się ni ognia ni miecza, ale być go

dnym wielkich naszych przodków odtworzonych w »Trylogji«. W tem wielka zasługa Sienkiewicza, iż ową nam dał podnietę.

Wcielił on bohaterski liryzm w dzieła swoje, by krzepić wielu upadłych na duchu I przypomniał sobie naród po chwilowej rozpaczy i zwątpieniu o lepszej przyszłości, jak rycerstwo polskie z okrzykiem »Marjo« na ustach rzucało się w bój, jak ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny »Bogarodzica« — kiedy pod wpływem pieśni »moc ducha wstąpiła w kości polskich rycerzy, kiedy zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebotały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i łęgom i całej ziemi jak długa i szeroka ową błagalną modlitwę »Kyrie Elejson«.

Sienkiewicz wykazał, że w każdej jednostce i w każdem społeczeństwie jest obok pierwiastków złych, czysto naturalnych, wiele dobrego. Sienkiewicz dowiódł, że niemasz tak tragicznego położenia, z którego nie byłoby wyjścia.

Kiedy nad życiem naszych ojców czarna i nieprzenikniona zdawało się, rozpościerała się chmura, kiedy cały aparat wrogiego rządu dążył do unicestwienia narodu, który w przygnębieniu i braku nadziei nie był zdolny imać się niczego, prócz materjalnych zachodów, jakie szumnie pracą organiczną nazwano, on w tę ciemnię rzucił gorejące światło w postaciach ze swych utworów »dla pokrzepienia serc«, chcąc współczesne pokolenie zagrzać przykładem przedstawionych bohaterów i żywiąc w duchu uwielbienie dla świetla-

nych kart naszej historji, mówił do niej swemi tworami... »Tobie wielka, święta przeszłości i tobie krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!«

Nieziemski jest na pozór rycerz Sienkiewicza, a jednak musimy przyznać, że stać nas było na obrońców naszej ziemi z pod Zbaraża i Grunwaldu, a całą tę spuściznę naszych świetnych dziejów wzięły dzisiejsze Legjony — armja polska, dokonywując cudów męstwa i poświęcenia. Sienkiewicz wykazał, że Polska miała religijnych i dzielnych rycerzy, pod względem wartości bojowej może pierwszych na świecie.

Czy Polacy są teraz godni postaci Sienkiewiczowskich, to kiedyś historja osądzi; w każdym razie Sienkiewicz dał nam je jako pierwowzór Polaka.

Tak cisnęły się pod pióro największemu Synowi Polski najpiękniejsze fragmenty przeszłości, a całą Twórcy poezję owiało jedno uczucie, jak żar słoneczny gorące: miłość Ojczyzny.

Ta jednakże nie zasklepiała się wyłącznie na tem co minęło; ona w ślad Mickiewicza ogarniała wszystkie pokolenia, ona dawała żywe wskazówki współczesnym jego.

W powieści psychologicznej »Bez dogmatu«, w »Rodzinie Połanieckich«, w owianych niezwykłym czarem jego nowelkach, przesuwają się typy, które on w mistrzowskiem ujęciu daje nam jako wzór do naśladowania, lub przeciwnie, uwydatnia strony ujemne, by w społeczeństwie wzbudzić wstręt do słabości i bezczynu. A mając serca ludzkie i wiedząc, że młodzieńcza dusza jest tym podatnym materjałem, z którego kształtuje się »jutro« narodu, pozostawił młodzieży cenną

spuściznę w książce »W pustyni i puszczy«; tam to pierwiastek bohaterski i obywatelski, podnosząc i uszlachetniając, przedziwnie harmonizują z sobą. Nie mogło być inaczej, bo ten nauczyciel narodu był pierwszym jego obywatelem i w owym charakterze w każdej poważnej dla narodu chwili zabierał głos, w którym się odczuwało tętno narodu.

Gdy to, co on w płomiennych widywał wizjach stało się rzeczywistością, gdy ogień i miecz znowu szaleć począł i potop wojny europejskiej w swe wiry nas porwał, a krew polska na wszystkich lała się frontach, Sienkiewicz objął sercem bezprzykładną tragedję naszą i całą swą istotę oddał na usługi w łagodzeniu cierpień i nędzy stąd wynikłej. Nie mieszając się do walk stronnictw, ponad nimi będąc, a stojąc na straży honoru polskiego szedł do wytycznego celu Polaka — do Niepodległej.

To też odrzucił ze wzgardą podsuwany mu projekt przeciw proklamacji niepodległego państwa Polskiego przez oślepionych słońcem Wschodu, nazywając protest taki hańbą.

Nietylko więc za świetlane postacie dzieł Jego, nietylko za wyryte w spiżu słowa, wskazania moralne, nietylko za donośny głos jego w sprawach narodowych, ale za krystaliczną Jego duszę, za to, że najpiękniejszy wzór w siebie wcielił — Cześć Mu!

Słusznie mówi Kazimierz Tetmajer, że jak Mojżesz lud swój, tak On prowadził nas do Ziemi obiecanej, u granic której skonał. Bo słońce życia Jego zaszło, gdy nam zajaśniała jutrznia wolności. Umarł, jak wszyscy nasi wielcy wieszczowie zrządzeniem losu zdala

od ziemi rodzinnej, a ostatnie Jego słowa pełne serdecznego żalu były: »już nie zobaczę Polski niepodległej!«

Nie stało przewodnika narodu właśnie wtedy, gdy się marzenia Jego ziścić mogą, a wśród radosnego hejnału nagle żałobne dzwony jęknęły głosząc zgon wielkiego Polaka.

* * *

Wierzymy silnie, że choć ciało umarło, przecież Duch Jego zaklęty w księgach żyć będzie między nami. Wierzymy, że gdy przeminą szczęśliwie dla nas dni ognia i miecza, gdy spłyną fale potopu, ten Duch potężny będzie prowadził nadal naród nasz na pola Chwały.

ROZMYŚLANIA.

Dusza jest to to, czego nie widzimy, nie słyszymy, i nic o tem nie wiemy.

Nie chce się wierzyć, żeby za jedno przewinienie, człowiek po śmierci był potępiony, nie chce się również wierzyć, żeby na tamtym świecie było wszystkim ludziom jednakowo. W co wierzyć?

Mąkoszyn, d. 10. IV. 1918.

Na świecie trzeba albo być wielkim człowiekiem, albo zbrodniarzem, jeżeli się chce w pełni życia użyć.

Mąkoszyn, d. 10. IV. 1918.

Trzeba wystąpić z bezwzględną krytyką narodu. Trzeba wykazać że nie jeno same perły w nas są, ale i czarne plamy. Dla przykładu trzeba pokazać narodowi jego czyny piękne, a dla wzbudzenia odrazy do słabości i szarzyzny, czyny podłe, okazać całą ich nagość wiernie.

Mąkoszyn, d. 10. IV. 1918.

Do czternastego roku życia, rządzili moskale w ojczyznie mojej. Zdążyłem ich jednakże znienawidzieć,

poznać historję ich rządów w Polsce i wszystkie sieci najpodlejszych intryg, któremi tak szafowali.

Mąkoszyn, d. 10. IV. 1918.

Przez powstania, przez cierpienia, przez dziedziczenie nieszczęścia z pokolenia na pokolenie, przez walkę ciągłą z przeciwnościami, naród hartowniał i uszlachetniał się. Rozwijał ducha! Oczywiście nie jest to ewolucja normalna, ale lepiej, że była taka, niżeliby nie miało być żadnej. Gdyby nasza niemoc, martwota polityczna i umysły nasze opanowała — wtedy naródby zpodlał a więc i zginął.

Mąkoszyn, d. 28 VI. 1918.

Każde powstanie przynosiło nam dużo strat. Ale nietylko mieliśmy straty z powstania. Każda walka zasilała duszę polską świeżą dozą wytrwałości i przypominała nasz obowiązek.

Mąkoszyn, d. 28. VI. 1918.

Jestem przekonany, że pomimo wszelkich ciosów, których teraz doświadczamy, los nasz jest lepszym od dawnego, ze względu na naszą przyszłość i że się w końcu poprawi. Wojna pomimo szalonych strat materjalnych z naszej strony uzdrawia nas moralnie. Najzgubniejszym był dla nas czas, kiedy rozdzieleni na trzy części, marliśmy syci wygód w snobiźmie, w nizkim żyliśmy stanie moralnym, zaś ideały narodowe głoszone były tylko przez poetów. To było dla nas najgorsze.

Obok powyższej notatki, może ta napozór dzi-

wną się wyda, trzeba jednak stwierdzić, żeśmy przez blizko półtora wieku, różnemi sposoby przez potężnych wrogów demoralizowani, zdołali zachować tak zdrowy organizm. Jest to dowodem. że naród sztucznie gnębiony, któremu, wbrew naturze chcą nienaturalną śmierć zadać, nie umrze, jak hydra odrastać będzie. Żadne, choćby najprzemyślniejsze środki wroga nie zabiją go. Mimowoli przychodzą na myśl słowa Staszica: »Upaść może naród każdy, zniszczeć — tylko podły«.

Nienawiść do moskali, po upadku ich rządu, traci trwały grunt. Wibija się teraz słusznie nienawiść do Prusactwa. Czy może być w Europie coś bardziej wstrętnego, jak to Prusactwo, podobne raczej do ogromnego stada karaluchów, wszędzie włażących, u wszystkich wstręt budzących? To ich nachalstwo, ta bezczelna buta! Ci barbarzyńcy o powierzchownej kulturze, w rzeczywistości o duszy dzikiej, niekulturalnej; a wszystko co czynią złego to pod pokrywką hasła: »Gott mit uns«. Jedną ręką duszą sąsiada, drugą wyciągają mu portfel, a prosto w ucho mu wrzeszczą: »nasz Bóg niemiecki z nami!«

Mąkoszyn, d. 10. IV. 1918.

Dość mamy patrjotyzmu romantycznego, za mało realnego.

Niemcy mówią na nas, żeśmy marzyciele. A kto większy marzyciel, czy my, którzy dążymy do zjednoczenia narodu, czy oni chcący zbrodniczą ręką zadusić Europę i świat i... panować!

Mąkoszyn, d. 14. IV. 1918.

Na trupie Niemiec wzrośnie nasza potęga.

Niemcy to rasa zupełnie zwyrodniała pod względem etyki. Jest to puszczona w ruch maszyna, która dotąd zgubnie panować będzie, dopóki jej starczy paliwa.

Schopenhauer, filozof niemiecki powiedział: »Teraz na łożu śmierci przyznać muszę, że całe życie wstydziłem się, że urodziłem się niemcem«.

Mąkoszyn, d. 18. VIII. 1918.

Jeżeli jest jaki podły naród na świecie, to Prusacy. Ale podły do stopnia najwyższego. Postępowanie Prus podobne jest do psiego: pies gryzie i rzuca się na człowieka, dopóki ten ucieka. Lecz gdy człowiek odwróci się z laską w ręku, wtedy pies nieraz położy się do nóg człowiekowi i stopy mu liże. — Póki Prusy były u szczytu potęgi — gnębiły ludzkość, wydzierały narodom ziemię, rabowały, gnębiły język i religię. Póki im się powodziło w wojnie światowej — mawiały, że niedopuszczą do kongresu, a podyktują »pokój niemiecki«, pokój pięści i miecza! Ładnieby wtedy Europa, a w niej Polska wyglądała! A później, gdy im się wszystko psuć zaczęło, schował się w mysią dziurę i gen. Hoffmann i Czeon... i wszyscy ci »dobroczyńcy«. Zapomnieli o »regulacji granic« w Polsce, skamlą teraz o pokój za wszelką cenę. Nie pomogła chytrość. Złodziej choćby najsprytniejszy, głupcem zawsze zostanie. Przeszli świat bezczelnością, ale nią nie wrócą... Jest w psychologji Prusaków coś ze złodzieja i rabu-

sia: Z jednej strony bezczelność, z drugiej lęk przed karą, z jednej spryt, z drugiej głupota, zapamiętanie się!

Na bezrozumność niemiecką jest tylko jeden niezawodny środek: dobra pałka i bat.

Jeden z dzienników wiedeńskich pisał te mniej więcej słowa: »Niech Polacy spróbują odebrać nam Galicję! Jeszcze w silnych rękach trzymamy Kraków i Lwów! -- Ciekawym bardzo kto komu wydzierał szmat Polski nazwany potem Galicją?! I czy to my jesteśmy owymi krzywdzicielami patrjotów austrjackich? Zupełnie analogiczny wypadek mógłby zajść, gdybyśmy chcieli zabrać n. p. Wiedeń i Berlin, a na opór z ich strony okazywany krzyczeli: »wydzierają nam Wiedeń i Berlin«! Czyż nie jest to absurd? W jednym i drugim wypadku prawo... kaduka!

Mąkoszyn, d. 12. X. 1918.

ŚWIĘTY ZNICZ

Obraz sceniczny w trzech częściach.

Część I. Wizja.

Część II. Błogosławieni.

Część III. Zorza Wolności.

OSOBY:

1. Hrabianka Jadwiga
2. Hrabia
3. Legionista
4. Mara
5. Głos I
6. Głos II
7. Olgierd
8. Ranny
9. Szyldwach
10. Legionisci: I. II, III, IV, V, VI
11. Starzec
12. Kapelan
13. Legioniści: I, II, III, IV, V, VI.
14. Ułan
15. Czterej rycerze polscy z XIV w.

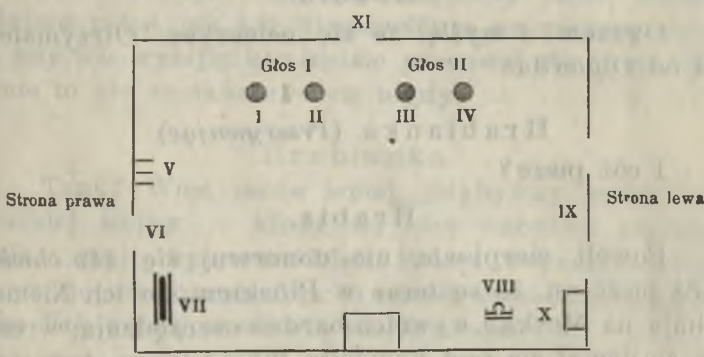
Zabici, Legioniści, Moskale.

CZĘŚĆ I

WIZJA.

Sala pałacowa. W głębi cztery filary; za nimi drzwi. Po obu stronach sceny drzwi. Z jednej i drugiej strony bocznych drzwi, wysokie, wązkie okna. Na prawo, tuż przy brzegu sceny, biurko. Po lewej stronie sceny kanapka. Za kanapką (w głębi) drzwi, za drzwiami nisza z małem wyjściem. Z niszy prowadzą też schody na górę. Ostatnie stopnie schodów wychodzą na scenę, nieco poza futrynę drzwi. W sali wiele drobnych sprzętów i portretów. Na biurku świeci się lampa.

PLAN SCENY:



I, II, III, IV — filary
VI, IX, XI — drzwi i okna
VII — kanapka
VIII — biórko
X — szafka z książkami
V — nisza i schody.

SCENA I.

Hrabianka.

(*Siedzi przy biurku i pisze. W chwili podniesienia kurtyny wstaje i chodzi po pokoju*).

Mój Boże! — Już rok minął, jak brat poszedł na wojnę. Cieszę się, że jest przynajmniej w Legionach, a nie w wojsku austrjackiem. Zawsze pod narodowym sztandarem chętniej człowiek walczy niż pod obcym. (*Wchodzi Hrabia*) Ale ojciec idzie. (*Podbiega i wita się*) Tatusiu, może usłyszę z ust twoich co nowego!

SCENA II.

Hrabia.

Owszem; i myślę, że się ucieszysz. Otrzymałem list od Olgierda...

Hrabianka. (*Przerywając*)

I cóż pisze?

Hrabia.

Powoli, cierpliwie, nie denerwuj się. (*Po chwili*) Otóż pisze on, że są teraz w Pińskiem, że ich Niemcy pchają na Moskali, a swoich bardzo oszczędzają; wreszcie, że dostał się pod komendę Piłsudskiego, tego, jak mówi, dzielnego żołnierza Polski...

Hrabianka. (*Przerywając*)

Ach, jak ja go uwielbiam, tego człowieka! Jaka zasługa jego dla Ojczyzny! Jakie dobrodziejstwo Jej uczynił!

Hrabia.

Czy dobrodziejstwo, to jeszcze pytanie. (*Dobitnie*) Podług mnie zawinił on dużo: naciągnął społeczeństwo nasze na ogromną ofiarę. Ileż krwi się leje, może na marne. A kto winien? — On. Kto rzucił pierwszy ludzi w ogień? — On.

Hrabianka.

Ależ ojcze, nie można go tak z góry potępiać. Nie możemy mówić, że ta krew idzie na marne.

Hrabia.

Sama krwi nie przelewasz, też ci jej nie żal. (*Żywiej*) A! wracając do rzeczy, to cóż mamy z tego wszystkiego? — Przyjemność czytania listy strat. Właśnie Olgierd pisze, jak ich Niemcy ślą w największy ogień. A gdy ich wybiją, kto będzie pracował dla kraju? Pytanie to nie zastanowiło cię nigdy.

Hrabianka.

Taak? Więc może lepiej, gdybyśmy podczas tej wielkiej wojny — kiedy się losy narodów rozstrzygają spali; by powiedzieli: Polacy niczego nie chcą; o nic się nie upominają; to naród wymierający. (*Z ironią*) Tak myślą zacni obywatele kraju.

Hrabia.

Inaczej myśli młode pokolenie. Głupstwa w głowie. Jakieś heroiczne czyny, gubiące ludzi. (*Po chwili spokojniej*) Ja nie mówię, żeby się niczem nie zajmować. Owszem. Towarzystwa narodowe, ligi, związki zakładać Pracować duchowo, a istnieć zawsze będziemy.

Hrabianka.

Duch bez ciała mało dla nas znaczy. Nam trzeba stworzyć ciało.

Hrabia.

Nadmierne ofiary nas zgubią.

Hrabianka.

Bez ofiar nie osiągniemy celu. (*Chwila milczeuia. Hrabianka wstaje*).

Ojcze! Nie taje ci serce na widok hufców narodowych? Nie drgnie ci serce, gdy patrzysz na kawalerję polską? Ileż wspomnień, ileż tradycji kryje czapka ułańska! Ileż cudów na ostrzu szabli! Somo-Sierra, Wagram, Rokitna! Ojcze! W każdym Polaku drgnie! żyłka rycerska na myśl o Legionach. Jaką sławę przynosi nam Piłsudski, gdy, prętem tylko w ręku, prowadzi zapaleńców do szturmu!

Hrabia.

Tyś sama zapalona. Ale to ogień słomiany. Idź spać bo już późno. Ja mam (*wstaje*) jeszcze dużo spraw do załatwienia, więc odchodzę. Ale raz jeszcze ci to powtarzam: w tych wszystkich błyskotkach widzę początek nieszczęścia. (*Odchodzi*).

SCENA III.

Hrabianka. (*Przechadza się po sali*)

Nie rozumiem doprawdy. Czemu się ojciec tak wszystkiemu sprzeciwia? Dobry Polak, a nie chce niczego ryzykować. »Ogień słomiany«. To nie ogień sło-

miany; to Znicz. Ogarnie on wszystkich. Jak bluszcz, obejmie on najtwardszą skałę! W ogniu tym najtwardsze żelazo się zegnie!

Bogiem tego ognia stał się człowiek przed wojną nieznany, teraz tak popularny. On jeden w tak ciężkich chwilach, stanął pierwszy do czynu. (*Po chwili patrzy na zegarek*) Jakoś spać mi się dziś nie chce. (*Przyciemnia lampę, siada na kanapie i drzemie*).

SCENA IV.

(*Drzwiami tylnemi wchodzi oficer Legionów, [Piłsudski]; jest przy szabli, z prętem w ręku. Legionista staje między kolumnami. Hrabianka usłyszawszy skrzyp drzwi, rozgląda się po sali, legionista podchodzi parę kroków bliżej.*

Hrabianka. (*Trwożliwie*)

Ktoś ty? (*Legionista podchodzi krok bliżej, Hrabianka wstaje.* Co cię tu sprowadza?

Legionista.

Nie poznajesz pani po mundurze?

Hrabianka.

Poznaję, mundur szary, narodowy... Ale skąd tu, w tej stronie? (*Chwila milczenia*) Czy z daleka idziesz?

Legionista.

Z daleką idę. Z kraju dalekiego, gdzie słońce smętnie świeci.

Hrabianka.

Czy tam stoją wojska?

Legionista.

Tam stoją szeregi. A szatan w błota je ciska. w bagna, w trzęsawiska. Ztamtąd idę, gdzie mój żołnierz pokotem się kładzie. Tam — nie jak na paradzie. Myślisz pani, że tam broń od parady błyska? — Tam krew pryska. Tam same jęki i wysiłki; istne piekło! A serca Legionom się krają, że nie cały Naród za nimi stoi. »Zabawka« — mówią, ha. krwawa to zabawka, oni takiej nie znać wolą.

Hrabianka.

Zaprawdę, smutne to ale prawdziwe. Moje jednak płoche serce kocha was i tego bohatera, co w bój ich prowadzi. (*Po chwili*) Powiedz mi, panie, gdzie wy teraz walczycie, jak wygląda ta okolica?

Legionista.

Gdzie walczymy? Ha, to pytanie! Tam (*z naciskiem*) gdzie i n n i nie mogą. Lasy, wokół lasy i bagna. Ponury widok okolicy. A wśród tych drzew, po kolana w wodzie stoją szare mundury. Karabin w ręku i bagnet. I tak brodząc torują sobie drogę, (*głośniej*) Polskę mając na ustach! (*Po chwili*) Tam Niemiec nie przejdzie, więc tych pchają. Jako taranem walą w mur Moskali. Ci idą walecznie. Część tonie, część ginie od kuli. Ci idą walecznie do... Przyszłości.

Hrabianka. (*Cicho*)

Pińskie błota...

Legionista.

(*W oknie dwa błyski. Patrzy w prawe okno*).

Pani patrz, coś błyska w oknie.

Hrabianka.

Nic nie widzę. (*Zbliża się do wnęku*).

Legionista.

(*Przysłania prawą ręką oczy i wpatruje się w miejsce między czwartym filarem a ścianą. Część sali poza filarami ciemna. Z wyżej podanego miejsca ukazuje się Mara. Jest to postać męska. średniego wzrostu i wieku. Owinięty czarnym, fałdzistym płaszczem. Hrabianka niespostrzeżenie znika ze sceny*).

Oh! Ktoś idzie, lecz dobrze mi znany.

(*Mara zwolna, wpatrzona w Legionistę, zbliża się*).

SCENA V.

Legionista.

Kto ty jesteś właściwie? Skąd idziesz natrętna postaci? Znajdujesz mnie na każdem miejscu. Opuść mnie nareszcie!

Mara.

(*W oddaleniu kilku kroków od Legionisty. Ręce pod płaszczem. Oczami wskazuje na ręce Legionisty*).

Spójrz na twe ręce! Widzisz na nich z krwi plamy?

Legionista.

(*Spogląda na ręce i cofa się parę kroków w tył, tak, że staje koło schodów*).

Krwi straszna! czerwona! O! krew widzę. Krew

mnie gniecie. Krew mi nie daje spokoju. A przecież to dla kraju! (*Mara podchodzi do niego. Prawą, chudą ręką bierze Legionistę za lewe ramię. Tak stoją w patrzeni w lewe okno. Błyska się. Legionista patrzy przerażonym wzrokiem*). Co w tych oknach tak ciągle błyska?

Mara.

Nie znane ci te zjawiska? Nie znane te obrazy?

Legionista. (*Głosem przerażonym ale silnym*)

Widzę... Gdzie postać Śmierci i Zarazy. A za niemi jasne Zjawisko w złotej na głowie koronie, z pękiem jasnych promieni w ręku. (*Po chwili*) Cóż to? Obraz się zmienia. Znów ciemnia. (*Po chwili do Mary żywiej*) Patrz! (*Wskazuje ręką*) Co tam desek czarnych. Białe plamy... Krzyże rosną! Krzyże, mogiły! Ach, jak mnie ta krew męczy...

Mara. (*Ochrypłym i jęczącym głosem. Wysuwa się o pół kroku naprzód.*

Widzisz ludzi tysiące? O! jak się gromadzą. W czarnych płachtach. Jaką wieżę budują z trumien, z krzyżów, z czaszek. Widzisz? Krzyż z czaszek strzela do góry. Jesienne szumią drzewa. Liście żółte na ziemię padają... toną...

Legionista. (*Cicho*)

Karabin w ręku i bagnet... Część idzie... część tonie...

Mara.

Na wpół w wodzie... (*Błyska się, Mara żywiej mówi*) Patrz! Błysnęło znowu. Groźna wali nawałnica. Lud

wściekły. Wieża runęła. Wokół trumien i kości leżą kupy, a koło nich wyschnięte kręcą się trupy. Widzisz? Do okna zbliżają się ludzie...

Legionista. (*Cichym przerażonym głosem*).

To nie ludzie, to trupy...

Mara.

Widzisz? Jak szczerzą zęby; jak szydzą z ciebie, wyciągają pięście. Śmieją ci się w oczy. Włosy ich rozwichrzone i rozwiana szata. Patrz jak krzyczą, jak grożą. To głupcy, niecierpliwi, tym ludziom rozumy odjęto. Tak wcześnie upadają. Nie wiedzą, że do szczęścia, cierniowa prowadzi droga.

Legionista.

Ah!

Mara.

Oni krwi nie widzieli, tylko głód czują; upadli na duchu. (*Za oknami nieokreślony hałas: jęki, dzwony, grzmoty, deszcz, błyskawice*).

Mara.

Słyszysz dzwony? Czemu one tak jęczą beznadziejnie?

Legionista.

Z moskiewskiego odlane są spiżu.

Mara.

Jak one jęczą... (*Krótka chwila ciszy, potem grzmoty*) Grzmot, ryk ponury dział tysiąca! (*Długa błyskawica*)

Bagnetów stal się świeci. Bitwa... Ratuj... Dzwony wołają...

Legionista. (*Nagle cofa się między kolumnę II i III. Wpatrzony w okno, silnym głosem mówi. Wyciąga szablę*).

Jezus Marya! Dzwony wołają! Krew się leje. Widzę tumany krwi i kurzu. Kąpie się w czerwonej posoce Naród cały. Jezus Marja! Pożary i dymy! (*Za oknami jęki i wrzawa bitewna*) Jęki i krzyki. Czerwone płyną rzeki. Rwą i depczą jedno ciało. (*Mara znika*) Przeklęci wy, co Ją depczecie! Bóg jeden na niebie. Ha! jest na was kara! Nie dzisiaj to i za lat trzysta! Przeklęci bądźcie Jej modercy! (*Po chwili spokojniej*) Na małej wyspie sztandar zatknięty czerwony, a na nim znak biały. Ostoi tej, zbrodniarze, nie zniszczycie! (*Po chwili uroczyście, z zapałem*) Bo Ta, co nie zginęła i teraz nie zginie!

SCENA VI.

Głos I. (*Głosem niskim*)

Wszystkie przetrwa burze,
Wyschną krwi kałuże,
Stanie w potędze,
Wierna przysiędze,
Swych ojców i przodków,
Ze zgrzytem broni, z tętentem podków
Bronić będzie swoich granic.

Głos II.

Hen za Bug,
Pójdzie wróg,

Ciemięski schowa miecz,
Pójdzie sobie precz.
A tu słońce zaświeci,
Orzeł w niebo wzleci,
Wzleci wysoko,
Nie ujrzy go oko.
Biały Orle, w górę leć!
Chwałą i potęgą świeć!

Legionista.

Hej Głosy! Głosy z nieba! Złoty potok słów wylejcie! Niech się krzepią niemi wszyscy!

Głos I.

Porachunku przyszły czasy,
Z bronią w ręku idźcie w lasy.
Jak kryształ czysta nasza sprawa,
Więc chociaż walka ciężka i krwawa,
Więc chociaż trudno zgnębić wroga,
Pamiętać trzeba: do szczęścia,
Ścieżka prowadzi złowroga.

(*Słychać z oddali trąbkę grającą pierwszą zwrotkę »Warszawianki«*).

Głos II.

Słyszysz pobudkę?

Legionista.

Już surm bojowych wołają mnie głosy; do pracy iść trzeba. (*Głośno*) Polacy, do czynu!

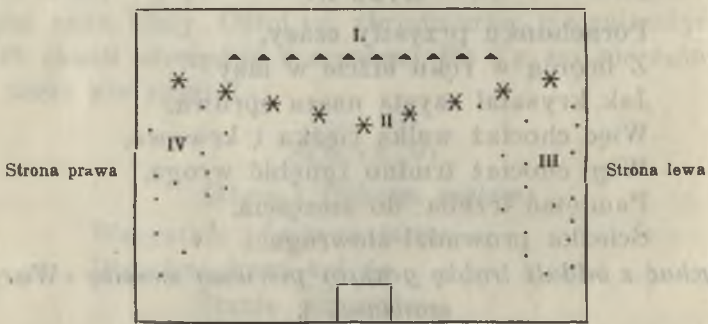
Zasłona spada.

CZĘŚĆ II

BŁOGOSŁAWIENI.

Noc księżycowa w lesie. Na ziemi świeży śnieg. W dali zamglone ołowiane niebo. W głębi wzniesienie. Na nim znać krawędź okopów. Po okopie przechadza się szyldwach. Na środku sceny, w półkolu przy ognisku siedzą legioniści. Jest ich pięciu. Na boku sześć karabinów ustawionych w kozły.

PLAN SCENY:



I. Krawędź okopu
II. Wzniesienie.
III. i IV. Las

SCENA I.

Legionista I. (*Suszy nad ogniem ubranie*)

Gdzie to. . ja psia .. zawsze gadam. Bić się, to się bić. Ale na świecie. Tu, to człek chodzi jak jakie nierogate stworzenie, zawsze w błocie umazany. Toć jakeśmy gonili Moskala od samych Karpatów, gnali przez lasy, piaski i błota, tyle mil, a człowiek zawsze miał suche ubranie i czuł się lepiej jak tutaj.

Legionista II.

Zima, cóż robić.

Legionista III.

Ona Moskala przytrzyma w tej rejteradzie. Będziem siedzieć teraz w miejscu.

Legionista IV.

Ty Wojtek narzekasz, ale jak trzeba było iść na ochotnika do przecinania drutów, to poszedłeś pierwszy.

Legionista I.

Bo jakem na św. Michał ojców żegnał, dała mi matka obrazek Najświętszej Panny, gadając: »Pamiętaj Wojtuś, noś to zawsze na szyi, a kula cię ominie«. A ja wiem, że Matka Boska nie chce mojej śmierci, jeżeli z takiego ognia zdrowo wyszedłem.

Legionista II.

O, Matka Boska może o tobie akuratnie myśli.

Legionista IV.

A wiecie bracia dlaczego Wojtek zdrowo wyszedł z tej potrzeby?

Legionista V.

No?

Legionista IV.

Gdy zbliżył się do drutów, wdział czapkę rosyjską i przerzucił do okopów, do kamienia przywiązaną kartkę z napisem: »Ruski brat! Nie strelaj; ja uciekaju iz plena!«

Kilku legionistów. (*Klepią go po ramieniu*).

Ha! ha! ha! Dobrześ się sprawił.

Legionista III.

Coś podobnego z czapką i mnie się zdarzyło.

Legionista V.

Opowiadaj.

Legionista III.

Jestem ja w Karpatach... wiecie, w okolicy tego wąwozu pod laskiem, gdy jeszcze z wami nie byłem, a wyście dziesiątego lutego pozycję po nas zajęli.

Legionista V.

Wiemy, wiemy, ale opowiadaj.

Legionista III.

Otóż szedłem kiedyś za gęsią dla siebie i towarzyszów. Strzały ucichły, więc mogłem iść spokojnie.

Po długiem szukaniu znalazłem wreszcie jakąś chatę w małej dolinie. Zbliżam się do chaty i spotykam na ganku gospodynią. Pytam jej się, czy niema gęsi do sprzedania. Jeszcze nie zdążyła odpowiedzieć, bo... wyimaginujcie sobie co się stało?

Legionista I.

Zamiast gęsi, gąsior z winem dostałeś.

Legionista II.

Eh, to kiedyindziej. Otóż wtedy, gdy do niej mówię, spuszcza się z góry na mnie powróz. W pierwszej chwili chciałem strzelać, ale się wstrzymałem, bo z zasadzki łatwiej się sprytem wydobyć. Więc krzyczę: hej, ruskij czeławiek, nie tak ostro, bo mnie dusi! Łaps, rękami za powróz. Wyciągnęli mnie tak na lince na stryszek. Tam zastałem ich dziesięciu. Bądźcie zdrowi, mówię, ja tu do was w odwiedziny. A że umię trochę po rosyjsku, więc się wkrótce z nimi rozgadałem. Lecz niebawem przyszedł starszy, z czarną, prawdziwie kacapską brodą i spojrzawszy na mnie dzikim wzrokiem, poprowadził do podoficera, podoficer do oficera, ten do starszego jeszcze i tak wojażując od Annasza do Kaifasza, strawiłem dzień cały Intrygowało ich to, że mam mundur legionisty i chcieli się dowiedzieć czym królewiak. Darmo gryźli zęby. — Lecz wracajmy do rzeczy. Gdy mnie mieli dalej wysłać, stała się rzecz nieoczekiwana. Na chatę, gdzie stało kilku oficerów i gdzie ja byłem w komorze zamknięty, zaczęły walić nasze granaty. Drrrum... brrrdum... młóci chałupę. Może ich wymłóci, myślę sobie. Moskaluszki w popłoch.

Na koń! Ustawiać szeregi! Uchodzą nieco w tył. Armaty nasze lepiej grać zaczęły. Ja nie tracę czasu. Łups, czapkę na głowę, pozostawiony przez kogoś karabin, w rękę i hyps, pod ścianą w krzaki. Z krzaków w pole. Ściemniło się już, więc mnie podczas tego rozgardjaszu nie zauważyli. Gdy wyszedłem poza linię, włożyłem swoją czapkę. Tak uszedłem niewoli rosyjskiej. W pół godziny byłem pod naszą pozycją. Tak się zatęskniłem za towarzyszami!

Legionista II.

Bardzo to ciekawe, ale trochę na blagę wygląda.

Legionista III.

Niech mnie pierwsza kula nie minie, jeśli jest w tem choć trochę łgania.

Legionista II.

Nie dałbym za to głowy.

Legionista III. (*Porywczo*).

Jeszcze, trutniu, nie wierzysz?

Legionista II. (*Groźnie*)

Coo?

Legionista V.

Nie kłóćcie się, koledzy. Wiecie, mam dobrą myśl: do rannych strzałów jeszcze daleko, ognisko gaśnie, zaśpiewajmy sobie coś.

Legionista IV.

Dobra myśl; ale co?

Legionista V.

Choćby Hymn strzelecki, co, zgoda?

Wszyscy.

Zgoda, zgoda.

Legionista VI. (*Wyskakuje z okopu*).

Poczekajcie na mnie; słyszę że będziecie śpiewać; przyłączę się i ja do was.

(*Legionista V intonuje melodję, za nim wszyscy śpiewają cały Hymn »Naprzód drużyno«*).

Naprzód drużyno strzelecka,
Sztandar do góry swój wznieś,
Żadna nas siła zdradziecka,
Zniszczyć nie zdoła ni zgnieść.
Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam gnić,
Z trudu naszego i znoju,
Polska powstanie by żyć.
Nic nie powstrzyma rycerzy,
Ofiarnych na mękę trud,
Kiedy pod sztandar swój bieży,
Do walki o wolność i lud.
Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam gnić,
Z trudu naszego i znoju,
Polska powstanie by żyć.
Żadna nas siła zdradziecka,
Zniszczyć nie zdoła ni zgnieść,

Śmiało drużyno strzelecka,
Sztandar do góry swój wznieś!
Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam gnić,
Z trudu naszego i znoju,
Polska powstanie by żyć.

Legionista VI. (*Przysłania ręką oczy, patrząc w las na prawo*).

Jakiś człowiek idzie w naszą stronę.

Legionista II.

Nie w mundurze?

Legionista VI.

To człowiek cywilny. Sukmana na nim długa, głowa pochylona. Na starca wygląda. (*Po chwili wchodzi starzec siwy, zgarbiony, w szarej sukmanie przepasanej szerokim pasem. W lewej ręce kij, w prawej katarynka lub harmonja*).

Starzec.

Niech będzie pochwalony.

Legionści.

Na wieki wieków amen.

Legionista I.

A cóż to, człowieku?

Starzec.

Przepraszam... może tu nie wolno, o tej porze... może panowie uwzględnią... droga moja daleka... Czy mogę wzdłuż okopów iść dalej?

Legionista IV.

Możecie dziadku, ale zagrajcie nam przedtem oberka. Rano zdaje się z Moskalami potańcujemy.

Starzec

Chętniebym z wawi pogawędził, panowie, ale noc późna, nogi posłuszeństwa odmawiają. (*Legioniści podają mu koziołek z gałęzi zbity; Starzec siada*) Ano kiedyście tacy łaskawi, to spocznę. (*Żołnierze umieszczają się koło niego*).

Legionista III.

Skąd idziecie, miły towarzyszu?

Starzec.

Wędruję, już lat będzie kilkadziesiąt.

Legionista IV.

Ruchy wasze zdradzają, żeście nie zawsze o kiju chodzili i że nie z ludu pochodzicie.

Starzec.

Dawne to czasy.

Legionista V.

Znać po was, żeście twardą szkołę życia przeszli.

Twarz poorana bruzdami i jakaś dziwna spokojność na licu. Takiej u nikogo nie widziałem.

Starzec.

Młodzieńcze! lata twoje młode. Gdybyś tyle, co ja, przeszedł, inaczejbyś wyglądał.

Legionista II.

Opowiedzcie co o swojem dawnem życiu; wydaje się ono nam takie tajemnicze. (*Słuchają opowiadania Starca*).

Starzec. (*Wolno opowiada*).

Dawne to czasy. Ciekawi jesteście moich poprzednich lat życia. Nie podobne były do czasów dzisiejszych, o nie. (*Chwila milczenia*) Pamiętam — małym chłopięciem będąc, z zachwytem oglądałem granatowy mundur swego ojca. Palce moje ślizgały się po srebrnych guzach i hafcie szlif; a gdy ojciec to widział, dwie łzy spływały mu po policzkach i głaszcząc mnie po płowych włosach mówił: »Ja, synku, munduru tego nie włożę. W tysiąc ośmset trzydziestym pierwszym miałem go raz ostatni na sobie ale daj Bóg, byś ty mógł go jeszcze nosić. Słowa te, poczciwego ojca wyryły mi się głęboko w pamięci. .

Rodzice mieli wioskę maleńką. Chowałem się tam bez troski i zawsze wesoły. Umysł mój, jako ptak na skrzydłach bujał i pracował nigdy nie zmęczony. Potem uczyłem się w szkole. — Pamiętam doskonale — ośmnaście lat miałem. W ostatniej byłem klasie. Gdy w tem wieści niejasne, niewiadomego źródła, do nas doszły. Zaczęły się w kraju jakieś zawieruchy. jakieś

niezadowolenia z rządu. — Ha! młoda krew zawsze gorąca! — Wybuchło powstanie. Jeden z pierwszych w Radomiu wstąpiłem do szeregu!

Niestety munduru nie włożyłem. W ciemnym kubraku i rogatywce; za pasem pistolet, w ręku strzelba... Ruszył żołnierz w lasy. Tłukło się wrogów, zabierało się armaty, nie w takich warunkach, jak dzisiaj. Proch na panewkę, garść ołowiu w lufę i pluj w łeb Moskalowi! Idź z kijem na kozacką pikę!...

Koleje powstania dobrze wam znane. Koniec nieszczęsny, uchodzić trzeba przed wrogiem. (*Głośniej*) Ja dumny byłem. Nie chciałem oddać broni Mongołowi. Ironia losu! Ojciec składa broń, uchodzi, syn tak samo. Czyż nie może pęknąć serce?! (*Chwila milczenia*) Stało się. Przestąpiłem granicę. Rodziców moich już nigdy nie ujrzałem. Moskale rozpuścili zgraję psów, szczutych zajadłością Murawiewa Wywęszyli i nasz dom. Ojciec odpowiada za syna... Zabudowania spalone... Ojciec na szubienicy... Młode rodzeństwo po świecie.

Z rozdartą duszą spędziłem lat parę w Krakowie; samotny, jako ten krzyż na piasczystej wydmie; bez rodziny, nie mając środków do utrzymania. Po kilku latach, gdy po trudach zebrałem trochę pieniędzy, wyjechałem do Rumunji. Badałem z zajęciem ludy bałkańskie i na tem spędziłem czas długi. A gdy ból ostygł nieco, zatęskniłem za Ojczyzną. Wtedy byłem już siwy. Gdy przyjechałem do Polski, pieniądze wszystkie, jakie miałem, rozdałem bardziej potrzebującym. Nie chciałem mieć domu. Przykre miałbym wrażenie. Mam tylko tyle majątku, żeby sobie chleba kupić. Chodzę teraz od wioski do wioski. Ze starymi wspominam

dawne czasy — w młodych podsycam święty Znicz. (*Po chwili*) W tej wojnie zaznałem dopiero pierwszej radości. (*Głośniej*) Wolności widzę przebłysk! Wprawdzie z wrogiem żeście się złączyli, ale pierwej pobić trzeba tego! (*Wskazuje ręką w dal, skąd rozległ się strzał armatni*).

S z y l d w a c h. (*Przybiega*)

Gdzie oficer?

L e g i o n i s t a V.

U siebie, w namiocie.

L e g i o n i s t a I.

Coś tam zauważył?

S z y l d w a c h.

Nie mam czasu. (*Bieży w las na prawo*).

L e g i o n i s t a II.

Pewno się nieprzyjaciel ukazał.

L e g i o n i s t a III.

Hej, starcze! Zbieraj nogi. Za chwilę gruchną strzały.

S t a r z e c. (*Z przyciskiem*)

Ja tu zostanę.

L e g i o n i s t a VI

A cobyście tu robili?

Starzec.

Chcę jeszcze raz zobaczyć, jak się biją Polacy! (*Wchodzi Olgierd, za nim Szyldwach. Idą na prawą stronę. Tam stają na okopie. Szyldwach wskazuje ręką na okolicę*).

Szyldwach.

O, tam. Ukazują się jakieś postacie. Kilku jeźdźców. Mały oddziałek dąży ku lasowi. Wiozą dwa karabiny maszynowe.

Olgierd. (*Patrzy przez lornetkę*)

Widzę (*Po chwili, zwracając się do Szyldwacha*) Mam rozkaz, skoro zauważę jakie ruchy rozdziałów, natychmiast je atakować. (*Szyldwach odchodzi na lewo za scenę. Olgierd do żołnierzy* Dzieci! karabin w rękę! (*Pobudka wzywa. Z okopów wybiega sześciu żołnierzy Wszyscy chwytają za broń i na spocznij stają we dwunastu, w szeregu po prawej stronie. Za niemi tuż przy brzegu sceny Starzec. Przed szeregiem Olgierd*).

Olgierd.

Wy dacie hasło do szturmu. Za wami ruszy kompanja.

Wszyscy.

Olgierdzie, prowadź nas!

Olgierd.

Baczność! Karabin na ramię! Dwójki w tył! W prawo zwrot! (*Dwójkami na lewo wychodzą w las*).

Starzec.

(*Po lewej stronie, błogosławi*).

Błogosławieni, którzy idą wzniecić Znicz świętej walki. (*Salwy armatnie*).

Zasłona spada.

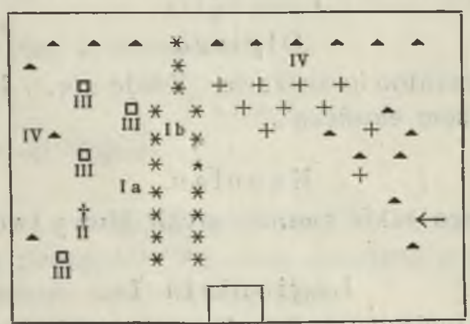
(*Słychać świst i pękanie szrapneli*).

CZĘŚĆ III.

ZORZA WOLNOŚCI.

Ta sama noc księżycowa w lesie na zdobytej pozycji. Na ziemi śnieg. Prawa część sceny wyższa od lewej. Na prawo, na wzniesieniu duży, czarny krzyż. Na nim o dwa łokcie od ziemi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, średniej wielkości. Na scenie, nieco głębiej kilku zabitych Legionistów i Moskali.

PLAN SCENY:



I a i I b — Wzniesienie
II — Krzyż
III, III, III, III — Rycerze
IV, IV i t. d. — Drzewa
+ + + i t. d. — Zabici
⟵ Moskale.

SCENA I

(*Z prawej strony wchodzą: Kapelan, Olgierd, kilku Legionistów*).

Kapelan.

Już zdaje się, koniec pobojowiska.

Olgierd.

Pole umarłych zakończone krzyżem...

Kapelan.

Wszystko się u nas z krzyżem i na krzyżu kończy...

Olgierd.

Mam smutne przeczucie. Zdaje się... że i ja niedługo krzyżem skończę...

Kapelan.

Dlaczego takie smutne myśli głowy twej się trzymają?

Legionista I.

Panie podporuczniku, jeszcze w niejeden bój razem pójdziemy.

Legionista II. (*Do Legionisty III-go*).

Towarzyszów straciliśmy niemało, ale pozycja wzięta.

Legionista III.

Darmo się szarpią. Wolno ale stale posuwamy się naprzód.

Ranny. (*Z pośród leżących słabym głosem*).

Pomocy.. Słabo mi... Ratujcie...

Kapelan.

Ranny pomiędzy zmarłymi? Hej! który tam pomocy wołał?!.

Ranny.

Ja... (*Wyciąga rękę. Kapelan i Olgierd siadają koło niego. Żołnierze rozpraszają się po scenie. Niektórzy wychodzą za scenę w las*). *[Uwaga: podczas modlitwy wszyscy są obecni]*.

Olgierd.

Co ci jest, towarzyszu?

Ranny.

Wody mi dajcie.

Legionista IV.

Zaraz przyniosę. Tu obok strumień płynie. (*Przynosi w manierce wodę. Ranny pije*).

Kapelan.

Lepiej ci?

Ranny.

Lepiej. (*Po chwili*) Ostatnia to moja godzina. Jakąś błogość czuję... Ostatnia chwila... Szkoda.

Olgierd.

Nie męcz się zbytnio rozmową.

Ranny.

Oh, nie. Mnie to ulgę sprawia. (*Do Kapelana*) Księże kapelanie... ja umieram... ze światem żegnam się... Księże...

Kapelan.

Co, drogi żołnierzu? Masz gorączkę, spocznij.

Ranny.

Księże... Już domowych nie zobaczę.. Zostawiłem rodziców i siostrę i .. jeszcze jedną, drogą mi... (*Do Olgierda*). Panie poruczniku, ty wiesz. Jej prześlij odemnie ostatnie pozdrowienie i powiedz gdzie leżę. Powiedz, że pod tym czarnym krzyżem... Może odwiedzi mój grób i dopiero zapomni...

Olgierd. (*Kapelan modli się*).

Może masz jeszcze jakie zlecenie? Powiedz. Jeśli Bóg mi pozwoli wrócić do domu, to zlecenie wypełnię. Chcę ulżyć twojej duszy.

Kapelan. (*Słychać głośniejsze słowa modlitwy*).

...Złagodź boleści i męki konania...

Olgierd.

Towarzyszu, masz mi co do powiedzenia, to powiedz, bądź spokojny, ostatnią twą wolę wypełnię.

Kapelan.

...I zaprowadź duszę na łono miłosiernego Boga...

Ranny.

(*Podnosi się trochę, wyjmuje z zanadrza dwa krzyże waleczności; podaje Olgierdowi*). Te krzyże... daj rodzicom i powiedz... powiedz, (*głośniej*) że kula przebiła mi pierś i żem zginął dla Polski. (*Kona*).

(*Chwila milczenia*).

Kapelan.

Skonał. (*Po chwili*) Bracia! Umarł wasz druh. Dwa krzyże waleczności miał... Zginął jak żołnierz. (*Żołnierze składają go pod krzyżem*)

Legionista V.

Szkoda go.

Legionista VI.

Ano trudno. Wszystkich nas jeden los czeka.

Legionista III.

Możemy mu na pożegnanie powiedzieć: »Śpij kolego, twarde łoże, obaczym się jutro może«.

Kapelan.

A teraz, gdyśmy pożegnali towarzysza, zwróćmy oczy nasze na Najświętszą Panienkę i na Chrystusa, który świat zbawił i Polskę nam zbawia.

(*Klęka pod krzyżem, za nim Olgierd i żołnierze. Wszyscy zdejmują czapki. Kapelan odmawia pacierz*).

»Błogosław Matko, gdy słońce z rana
»Złotem zaleje świat Boży,

»Lub kiedy światłem oblani zorzy
»Wieczorem zegniem kolana.

W s z y s c y (*ciszej*).
»Lub kiedy światłem oblani zorzy
»Wieczorem zegniem kolana.

K a p e l a n (*głośniej*).
»Błogosław Matko polne zasiewy,
»I nasze kwiaty i zioła,
»I ptasząt pienia i ludu śpiewy,
»I znój co spływa nam z czoła.

K a p e l a n (*głośniej*).
»Błogosław Matko mych braci groby
»Całą ludzkości rodzinę,
»Wspólną niedolę i łzy żałoby,
»Błogosław każdą godzinę.

W s z y s c y (*ciszej*).
»Wspólną niedolę i łzy żałoby,
»Błogosław każdą godzinę«.

K a p e l a n (*głośniej*).
Błogosław Matko polskim żołnierzom,
Naszym wysiłkom, cierpieniom,
Naszym żarliwym, prostym pacierzom,
Błogosław Matko cierpieniom.

W s z y s c y (*silnie*).
Naszym żarliwym prostym pacierzom,
Błogosław Matko cierpieniom.

(*Za krzyżem, na niebie, przy ostatnich słowach modlitwy ukazuje się zorza poranna. Noc znika prędko przed świtem. Kapelan wstaje, żołnierze tak samo, wszyscy z zachwytem przyglądają się zorzy*).

Kapelan. (*Wyciąga ręce do góry*).

O witaj Zorzo Wolności!

Wszyscy.

Szczęścia jaśnieją nam świty! (*Słychać tentent galopujących koni*).

SCENA II.

Ułan. (*Za sceną*)

Trzymaj konia! (*Upada z lewej strony. Pałasz ma w ręku*). Do broni! Moskale! (*Legioniści klękają tyłem do krzyża. Wpadają z prawej strony Moskale*).

Olgierd.

Cel...

(*Salwa*).

Oficer rosyjski.

Ha! buntowszczyki!

Olgierd.

Bluźnierca! (*Wpada z pałaszem w ręku na Moskali. Trzech żołnierzy wbija mu bagnety w piersi. Olgierd pada na wznak. Z za drzew wychodzi nagle czterech rycerzy polskich z XIV w. Stają za grupą legionistów. Sta-*

rzec przed krzyżem. Druga salwa. Niektórzy Moskale padają. Po salwie Moskale rzucają się na bagnety. Toż samo robią legioniści. Moskale cofają się, pchani bagnetami aż po lewą stronę sceny.

Starzec.

Walczcie jak dawni rycerze. Zwycięstwo z nami!

(*Orkiestra gra »Jeszcze Polska«*).

(*Żywy obraz: Dwie linie walczące; legioniści napierają, Moskale odpierają; bagnety skrzyżowane. Ułan pasuje się z jednym żołnierzem. Kapelan krzyżykiem błogosławi. Starzec przed krzyżem. Czterej rycerze jak oznaczone na planie. Miecze ich skierowane w ziemię*).

Zasłona spada.

Mąkoszyn, w styczniu 1916 r.

OBJAŚNIENIA
niektórych osób symbolicznych.

Głos I i II przypominają Legioniście jego obowiązki, oraz przepowiadają skutki poświęcenia Polaków.

Mara, pokazuje Legioniście obraz naszego społeczeństwa.

Postacie, które widzą. Mara i Legionista w oknie są to różnolite i niezgodne głosy niewytrwałego społeczeństwa.

Starzec, wyobraża Przeszłość

Rycerze wyobrażają Przypomnienie.

TRAUGUTT.

Sześć chwil z życia bohatera.

SZKIC DO UTWORU.

Tyle się mówi i pisze o Powstaniu Styczniowem, o głównych postaciach tej epoki, a jednak o największym bohaterze tego czasu wspomina się prawie mimochodem. Osobistością tą był Romuald Traugutt. Postać to wielka, nad którą warto się zastanowić. Można go stawiać zawsze jako wzór dla szeregu pokoleń walczących w okropnych warunkach niewoli:

W duszy Traugutta nie znajdziesz ni cienia słabego charakteru. Ogniskuje on w sobie wszystko dobro moralne, jakie się w narodzie znajdowało. Ze współczesnych przodowników narodu, on jeden z małą garstką do siebie podobnych trwał w niezmiennem przedsięwzięciu przeciw całym zastępom ludzi politycznie niedojrzałych, często nie wierzących w pomyślną przyszłość narodu. Z garstką gotowych na wszystko żołnierzy trwał w boju i pracował nie zniechęcając się widokiem zgubnych wpływów anarchji.

Traugutt urodził się na Litwie, w Brzeskiem. Po skończeniu szkół udał się do Petersburga, przygotowując się do wojskowej Akademji inżynierów. I tu mamy znowu próbę niezachwianego ducha narodowego Traugutta. Nie zapomina o dalekiej Polsce i chodzi na tajne zebrania kolegów Polaków. Tu krzepią ducha

lekturą trzech wieszczów, tu deklamują wyjątki arcydzieł rodzimej literatury, tu z wielką ostrożnością przed okiem władzy zastanawiają się nad współczesnem położeniem narodu, nad stosunkiem jego przeszłości do czasów ostatnich.

Po otrzymaniu patentu służy czynnie w armji rosyjskiej. Bierze udział w wojnie krymskiej. Długoletnia służba rządowa nie zobojętniła duszy Traugutta. Przebywając ciągle w otoczeniu rosyjskich kolegów, w żywiole obcym i wrogim, zmuszony był zachować pewną lojalność, lecz zawsze pozostał takim, jakim się urodził, t. j. Polakiem. Nieraz bywało, gdy ktoś z kolegów odezwał się z ironią lub nieprzychylnie o wierze katolickiej lub Polakach, wtedy nie hamował się już carski oficer i zabierał głos w obronie świętych dla niego ideałów.

Nie ujawniając na zewnątrz, w głębi ducha swego krył ogień miłości dla ojczyzny.

Po odsłużeniu lat, jako dymisjonowany pułkownik, osiadł na ziemi w swoim majątku, na Litwie. Tu zastało go powstanie. Zrazu nie bierze on w nim udziału. Dopiero później organizuje w powiecie kobryńskim, mały z dwustu ludzi złożony oddziałek. Uświadomił sobie konsekwencję czynu, ale się nie zachwiał. Poszedł za głosem sumienia. Ruszył w bój przeciw wojsku, z którem dawniej brał udział w wojnie krymskiej. Poszedł cichy w pińskie błota i lasy, jako dowódca skromnego oddziałku. Spodziewał się na tem stanowisku trwać do końca. Nie wiedział, że ze stanowiska partyzanta postawi go Opatrzność na czele ruchu, że da mu wielką misję ocalenia honoru narodu.

Bo rzeczywiście gdyby nie zajaśniała w Powstaniu postać Traugutta, naród pokryłby się sromotą i hańbą niezgody, anarchji, niedołęztwa Naród stanąłby wtedy w oczach Europy jako umarły i przeżyty.

Rząd Narodowy, na którego czele stał K. Majewski, dowiedziawszy się przypadkowo o zdolnościach i zaletach Traugutta, dał mu misję do zachodnich państw Europy. Tem samem zyskał nagle wysokie stanowisko. Gdy tenże rząd został obalony a samozwańczy rząd rozpoczął rozwijać swoją politykę, wtedy Traugutt powróciwszy z Paryża, poparty dwoma swymi stronnikami, odebrał władzę uzurpatorom i w kategorycznych słowach zapowiedział, że już od tej chwili t. j. dnia 17. października, Rząd narodowy reprezentuje tylko on. W przemówieniu tem wyrzucał zebranym członkom rządu prywatę. Biła z tych słów taka prawda, powaga i stanowczość, że nikt nie oponował. Od tego czasu Traugutt z zaparciem się siebie sprawował tajemne rządy. Nie zniechęcił go upór i niebezpieczeństwo. W każdym czynie jego przebijała się niezachwiana ufność we własne siły. Bo czy pracowałby Traugutt tak wytrwale, gdyby sądził, że praca idzie na marne? Czy energia jego byłaby nadal taką niespożytą, gdyby nie miał stanowczej wiary, że wyrwie naród z otchłani niewoli?

Dyktaturę rozumiano jako godność, on rozumiał ją jako ciężki a konieczny obowiązek. Nie purpurowy płaszcz zdobi dyktatora, ale zwykły szary, łatany. Nie złociste pokoje i sale są do rozporządzenia jego, ale ciemne ponure mieszkanie. Powagą dyktatora jest zwykle stanowisko i władza — tu tajemnicza pieczęć nie-

wiadomą ręką na rozkazie położona — najwyższą powagą. Zwykle dyktator kończy swą działalność w chwale, lub, jeśli nie podoła zadaniu, dostaje dymisję. Tu czeka go napewno szubienica i zapomnienie. — Lecz mylił się Traugutt: szubienica stała się dla niego chwałą najwyższą, jak chwałą było dla Chrystusa umierać na hańbiącym krzyżu. Ale nie wahał się przed niczem. Pracy swojej nie zaprzestał. Wiedział, że wszelkie nadzieje oparte na obietnicach Zachodu płonne są. Drogą militarną, ufając tylko we własne siły, postanowił walczyć, bo zresztą ta jedna tylko pozostała droga.

Gdy nadszedł spodziewany koniec dla Traugutta, przyjął go i poddał się losowi. U stóp szubienicy mógł śmiało spojrzeć w oczy narodowi, bo plamki w życiu jego nie było. Cała jego działalność oparta była na niezłomnej energji, zaparciu się siebie i wierze. To tylko może być skuteczne w walce narodowej.

Tak błysła i zgasła niebawem ta czysta gwiazda. Przeleciała przez zachmurzony firmament polski i potęgą swego blasku oświetliła — jedną piękną kartę czarnej księgi Powstania Styczniowego.

OSOBY:

Traugutt — wódz
Feliks — adjutant Traugutta
Anna — narzeczona Feliksa
Józef Narzymski, Kobylański, Asnyk, Józef Gałęzowski, Józef Janowski — członkowie rządu wrześniow.
Jeden wtajemniczony
Drugi wtajemniczony
Trzeci wtajemniczony
Czwarty wtajemniczony
Piąty wtajemniczony
Szósty wtajemniczony
Siódmy wtajemniczony
Pepłowski (naczelnik miasta)
Maryan Dubiecki (sekretarz Rusi)
Włodzimierz Dybek (dyr. spraw wewn.)
Młodzieniec
Hrabia
Literat
Ks. Wład. Czartoryski
Dyplomata I
Dyplomata II
Pani Kirkorowa
Ksiądz
Nieznajomy
Generał Lebiediew
Pułkownik saperów Idanowicz
Kapitan
Podoficer
Żołnierz
Żandarm
Matrona
Laura
Jedna z francuskich panien
Druga z francuskich panien
Towarzysz
Jeden ze starszych francuzów
Drugi ze starszych francuzów
Głos I
Głos II
I z gości
II z gości
III z gości
IV z gości
Lokaj.

AKT I.

W POLESKIEJ PUSZCZY.

(Skraj lasu. Po lewej stronie pagórek, tuż obok świeżo usypana mogiłka, na niej z patyka wystrugany krzyż. Na wzgórku siedzą: Feliks i Młodzieniec. Gwarzą. Na polance tu i ówdzie rozrzuceni żołnierze spoczywają. Stopniowo ciemnieje).

SCENA I.

Feliks.

Wieczna wędrówka! Od wioski, do wioski, od powiatu, do powiatu uciekaj żołnierzu! A kryj się po lesie i wyskakuj znienacka na wroga. Walcz nie jak lew, ale jak tygrys!

Młodzieniec.

Ta jedynie nam pozostała droga. Przez nią tylko dojdziemy do celu.

Feliks.

Czy dojdziemy?

Młodzieniec.

Ha, znowu ta melancholja duszę Twoją ogarnia? Więc czemu, kiedy Ci brak wiary, nie wrócisz do domu i nie spoczniesz wygodnie? Czemu tułasz się z nami po lasach i mówisz ciągle jak prorok złowieszczy?

Feliks.

Bo w tem właśnie nasza tragedja polska, że trzeba nam wątpić i wierzyć naprzemian. Wciąż naprzód pę-

dzi nas fatum szlakiem nieszczęścia; lepsza dola się ciągle do nas uśmiecha, a gdy po nią sięgamy, ucieka nam. Los drwi z nas.

Młodzieniec.

Poeto!

Feliks. (*Ciągnie dalej*)

Tak, nam nie pozostaje nic innego, jak być autorami pieśni nieszczęścia i znaczyć pochód po mogiłach ojców, na grobach sypać nowe groby.

Młodzieniec.

O, nie. Jeszcze jedną rzecz zachowaliśmy: męstwo! Wytrwale walczmy, nie żałujmy trudu i cierpień, a jeszcze uśmiechnie się do nas fortuna!

Feliks.

I to się nam na nic nie zda. (*po chwili*) Wiesz, mówiłem ci już nieraz, że ja wierzę w fatum. Tak, w tą jedną prawdę wierzę. Cofnąć się już nie możemy. Los nasz — ginąć. (*po chwili*) A zresztą... mnie jedna przyczyna zmusza do trwania w szeregu...

Młodzieniec.

Powiedz przyjacielu!

Feliks.

Anna.

Młodzieniec.

Ona? A więc ty tylko dla niej wszystko poświęcasz?

Feliks.

Ach, bo muszę ci opowiedzieć jak było. (*po chwili*) Już kilka minęło miesięcy, jak bawiłem w dworku u rodziców Anny. W okolicy tej było wtedy spokojnie. Żaden oddział nieprzyjacielski nie grasował tam. Żaden wypadek nie zamącił wtedy letnich dni.

Bywało, gdy rodzice Anny szli popołudniu do swych zajęć — ja z ukochaną spędzałem długie chwile. Świadkiem rozmów naszych była tylko samotna, stara lipa, pamiętająca dawne dzieje Rzeczypospolitej. W godzinach tych schodził nam czas tak mile, żeśmy zapominali zupełnie o zawierusze wojennej. Tak mijały dni. Aż pewnego razu powstańczy oddział zawinął w nasze strony. Było to kilkudziesięciu ludzi, ledwo jako tako uzbrojonych. Żołnierz taki nie budzi szacunku. Ale na licach ich gorzał taki płomień zapału, pewności siebie i siły, że otucha wstępowała w serca mieszkańców. A ja, choć nie tak jak oni wierzyłem — milczałem, boby mnie okrzyknięto żem zły rodak, że tchórzę...

Ojciec jej, stary szlachcic, przyjmował partję gościnnie, nie bacząc na niebezpieczeństwo. A mnie podobały się te zuchwałe szeregi chłopców. Z jakimś niemym, delikatnym wyrzutem powitała mnie raz. Ja tego znosić nie mogłem. Starałem się o ile możności odwracać rozmowę od tematu wojny. Nie zmieniło to jej usposobienia. Tymczasem powstańcy po dwóch dniach bytności wyruszyli w dalszą drogę. Stałem z nią wtedy na ganku. Nagle wyrwała się z piersi kilkudziesięciu przechodzących szaleńców, pieśń potężna, pieśń o głosie spiżu, przypominająca okrzyk wojenny żołnierzy

Olszynki. Wrażliwą duszę Anny ogarnął entuzjazm. Na twarz jej wystąpiły rumieńce...

Już dawno odeszli, a ona jeszcze posyłała im chustką ostatnie pozdrowienia.

— Szaleńcy — pomyślałem; a jednak, przyznam ci się, że wtedy, gdy szczęście moje zdawało się niezachwiane, gdy żyłem w środowisku, które było mojem marzeniem, wtedy, na odgłos tej pieśni bojowej (*z uniesieniem*) i ja poczułem się żołnierzem krwią z krwi, kością z kości. I mnie wtedy opanował wir chwilowego zapału. (*spokojnie*) Wypowiedziałem jej wtedy swoje myśli. Ona zaś, głęboko rozradowana dała mi ten oto ryngraf. — Idź i walcz! a gdy spełnisz swoją powinność, której nikt nie ma prawa się wyrzekać, wtedy będziemy szczęśliwi.

Wypowiedziała te słowa. Wypada mi więc jedna droga. Ochłonąłem rychło z zapału, ale słowem związany idę wbrew swojej idei...

Dwór Anny został później przez Moskali spalony. Rodzice wysłali ją dla bezpieczeństwa gdzieś do znajomych we Francji. Ojciec jej został niebawem wywieziony w głąb Rosji...

Pozostaję teraz sam, ze staremi myślami (*po chwili*) Stefan! dodaj mi ducha! Wzbudź we mnie ducha (*w zamyśleniu*). Czy ty wiesz, jaka to męka walczyć nie wierząc? (*z goryczą*) Ja nie wierzę!! (*spokojnie z rezygnacją*) A zresztą u nas, czy to wbrew, czy z przekonaniem idzie — koniec jednaki.

Młodzieniec.

(*Na wpół serdecznie, na wpół żartobliwie*). No, czarna

duszo! rozjaśnij czoło twoje, odpędź precz ciemne, ponure myśli. Zobaczysz: gdy serce wesołe, to i świat piękny się wydaje...

Feliks.

(*Przerywając*). Tak, piękne są wtedy złudzenia...

Młodzieniec.

(*Nie zważając na te słowa*). Widzisz jaki ja jestem zawsze pogodny. Takie samo pogodne usposobienie ma nasz wódz, Traugutt. Ja prędzejbym odpowiadał na stanowisko jego adjutanta, niż Ty.

Feliks.

O nie! Ja tak jestem do niego przywiązany, tak bezwzględnie oddany, że cokolwiek rozkaże — wypełnię.

Młodzieniec.

Dobrze mówisz, bo takiemu charakterowi warto zaufać. (*po chwili*) Ale oto idzie naczelnik. Patrz, jak sprawnym, energicznym krokiem ku nam idzie.

SCENA II.

(*Wchodzi Traugutt. Niektórzy żołnierze podsycają ognisko. Zauważywszy wchodzącego wodza, dwaj młodzieńcy powstają. Wódz skinieniem ręki pozwala nadal spoczywać żołnierzom*).

Traugutt.

Jak się macie Wiara? Leżcie, odpocznijcie. Niedługie żołnierskie wywczasy. (*do Młodzieńca*) No, co tak

panowie na uboczu gawędzicie? (*spogląda na Feliksa*) A mój adjutant zawsze pochmurny. Ale rozweselisz się mój panie na wieść o podróży...

Młodzieniec.

Pan Naczelnik opuszcza nas może?

Traugutt.

Nie na długo. Do Warszawy jechać muszę, nawiązać jakieś nici z Rządem Narodowym Stamtąd wyślą mnie może do Anglji i Francji...

Feliks.

(*Zamyślony*). Do Francji...

Traugutt

Zachód nam pomoże. W kraju tymczasem trzeba całą sprawę zjednoczyć, zorganizować walkę. Polskę, Litwę i Ruś połączyć. Zobaczycie, że Rosja zadrży jeszcze z podziwu i obawy.

Feliks.

Ach, jeśliby się to udało...

Traugutt.

Uda się, uda, tylko silnych rąk i silnych serc potrzeba. Ale siądźmy. (*Siadają na tym samym wzgórku, gdzie siedzieli przedtem młodzieńcy*) Mamy chwilę czasu. (*do Feliksa*) Waszmość pan, jako mój adjutant pójdziesz ze mną Dowództwo oddziału poruczę komu innemu.

Wszystko pójdzie po pomyślnej drodze przy rzetelnej pomocy.

Feliks.

Naczelniku! ja pierwszy staję do pomocy, ślepy na Twoje rozkazy!

Traugutt.

Tak jest, posłusznym trzeba być wszędzie. Nie dla nas, wodzów to się robi (*bierze garść gliny z usypanej obok mogiły*) ale dla tej świętej ziemi, która kryje miliony kości synów jej, a braci naszych, dla tej ziemi przesyconej krwią polską.

Młodzieniec.

Naczelniku! po Twoich słowach w ogień każdy pójdzie i nie zadrży mu serce, chyba z miłości dla kraju!

Feliks.

Albo dla Ciebie wodzu nasz mocny! (*Wódz wstaje, za nim młodzieńcy; słońce zachodzi, zdala dochodzą odgłosy jakiejś śpiewki maszerujących żołnierzy*).

Traugutt.

Dla mnie jest jedna świętość największa po Bogu — Polska! (*Wysuwa się nieco naprzód Mówi do siebie w zamyśleniu*). Boże, Boże, oszczędź nieszczęścia, daj im wiary, odpędź zwątpienia. Niech chcą wybawić. Niech chcą wybawić Matkę, Ojczyznę naszą, a wybawią. Boże! zgody, wiary...

Feliks.

(*Do Młodzieńca*) Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń Jakie natchnione oblicze jego, niby przy modlitwie. — Kochany Wódz!

Młodzieniec.

A jednak, jak wielka w nim siła! *(Głos maszerujących powstańców potężnieje. Idą oblani czerwono złotymi promieniami zachodzącego słońca; rozlega się głośno białoruska pieśń).*

Chór powstańców.

Hej — ha — razom chłopci,
Hu — ha — my mołodci!
Hej — ha — z Polakami,
Hu — ha a Boh z nami! —
I na Bożu zdajma wolu
Naszy slozy i niewolu — — —
Hej — ha ciepier znajem,
Hu — ha wyklikajem:
I ziemli naszej won waroki!
Moskalow złup won do noki! — — —
Hej — ha moi ludzie
Hu — ha dobre budzie!
Hej — ha, oj radnyje
Hu — ha malenkije
Budzie wolność prawdziwaja
Daść nam jeje Polszcz świataja — — —

(*Przechodzą, ostatnie słowa pieśni giną w leśnej przestrzeni*).

AKT II.

W HOTELU LAMBERT.

(*Jeden z salonów Hotelu Lambert w Paryżu. Tłumnie zebrani goście, Polacy i Francuzi prowadzą ożywioną rozmowę; w sali brak tylko Księcia Władysława Czartoryskiego, gospodarza domu i kierownika dyplomacji polskiej*).

SCENA I.

(*Wchodzi Hrabia*).

Goście.

Aaa! Już siódma dochodzi — a pana Hrabiego jak niema tak niema. — Gdzie to się tak długo bawiło?

Drugi z gości.

A kto nam będzie akompaniował na fortepianie?

Hrabia.

Witam, witam łaskawe towarzystwo. Zaraz rozpoczniemy muzykę (*przechodzi wraz z grupą otaczających go osób w jeden kąt salonu*).

Matrona.

(*Wskazując na hrabiego*). Czy uważacie państwo jaki on zmieniony?...

Jeden z gości.

Pewnie całą noc bawił się dobrze i jeszcze się nie wyspał.

SCENA II.

Literat

(*Do Hrabiego*). Bez gospodarza koncertu zacząć nie możemy; zwyczaj to nasz, staropolski.

Hrabia.

(*Przeglądając swoje paznokcie*). U nas, we Francji...

Literat

(*Z lekką ironią*). Ach. tu we Francji są różne zwyczaje.

Trzeci z gości.

(*Do czwartego, wskazując na literata*). Uważa pan, jak nasz poeta strofuje hrabiego. Oni się bardzo nie lubią.

Czwarty z gości.

Nic dziwnego, dzisiaj Polak może się zrazić do Francuza. Naród to dziwnie niewdzięczny.

Literat.

(*Do Hrabiego*). Tak, Hrabio! Zapomnieliście już, kto wam otwierał drogę do Madrytu — —

Hrabia.

Tak, ale — —

Trzeci z gości.

(*Do czwartego*). Oho! zmienili rozmowę; wkraczają na tor polityczny! warto posłuchać. (*Zbliżają się nie znacznie do rozmawiających — część gości rozchodzi się do innych salonów, skąd dochodzi gwar rozmów i przyciszonych śmiechów*).

Hrabia.

Tak, ale — - — Cesarz Napoleon I nagradzał sowicie bohaterów — -- —

Literat.

(*Gwałtownie*). Ha, ha, jak ty to mówisz mości Hrabio! Nagradzał sowicie bohaterów. Rzeczywiście hojnie nagradzał. Każdemu żołnierzowi dawał po kilka orderów. Spytać każdego mego rodaka, Napoleończyka, gdzie jego ojczyzna? Odpowie, że ojczyzny niema, ale wskaże zaraz na pierś swą orderem okrytą i rzeknie: to moja nagroda za służbę cesarzowi! Tak! Naród nasz, tylko bohaterów tworzy, to jest jego słaba strona.

— Jesteś hrabio historykiem z zawodu, znasz przeto historję. — Mieliśmy Króla Jana III, a jego bohaterstwo umiała wyzyskać Austrja. (*z ironią*) Także i cesarzowi przydały się tysiące polskich bohaterów, tysiące gotowych na śmierć i szukających jej w wąwozach Somo Sierry i w wodach Berezyny, ale nie poto, by cesarz po zgonie żołnierzy, ich rodzinom posyłał ordery poległych, ale, by im dał ziemię, z której się tyle lat żywił — — —

Hrabia.

(*Przerywając — groźnie i zimno*). Pan obrażasz temi słowy naszą ambicję.

Literat.

(*Z naciskiem*). Nie, ja niechcę naruszać pańskich ambicji, ale mówię tylko dlatego, by pan hrabia nie miał powodu dziwić się, że my od Francji jeszcze czegoś żądamy. (*Hrabia spojrzawszy z dumą na Literata odchodzi i miesza się z tłumem gości. — Literat, skrzyżowawszy ręce na piersiach z ironią i lekką wzgardą patrzy za odchodzącym*).

SCENA III.

(*Po chwili schodzą się goście z sąsiednich salonów*).

Jedna z franc. panien.

(*Wchodząc, mówi do Matki*). Ach, kiedyż ten książę przyjdzie.

Matrona.

(*Do córki*). Książę zajęty teraz ciągle tą polską polityką. Pewno zatrzymał go dłużej Książę Napoleon Hieronim.

Druga z franc. panien.

(*Postępując z towarzyszem tuż za Matroną i jej córką mówi do niego*). Prawdę mówiąc, przyznam się panu, że nie wiem nawet gdzie ten polski lud?

Towarzysz.

(*Tonem poważnym, pouczającym*). Ach, to bardzo na wschodzie. Koło Petersburga.

Matrona.

(*Do towarzysza, patrząc na Hrabiego*). Prawdziwie interesuje mnie ten młodzieniec; on dzisiaj jakiś nie swój.

Córka jej.

(*Ciągnąc matkę za rękę*). Mamo, jaki on piękny!

Matrona.

(*Strofując*). Lassez donc, ma fille!

SCENA IV.

Trzeci z gości.

(*Do czwartego*). Uważa pan, że Hrabia, ile razy się tu spotka ze swoim przeciwnikiem — zawsze sobie humor popsuje.

Czwarty z gości.

Bo to zatwardziały Francuz, nie uznający nic poza swojem »ja« i »notre Paris« — bo »moja Francja« — a wasz literat to tęga dusza, nieraz mu prawdą w oczy sypie. (*Po chwili*) Po co jednak przychodzi tutaj, kiedy jest całej robocie księcia przeciwny?

Trzeci z gości.

Wpada mu trochę w oczy pupilka tej damy. (*Wskazuje na matronę stojącą koło Anny*).

Czwarty z gości.

(*Robiąc uwagę*). Wcale sympatyczna Warszawianka...

Trzeci z gości.

To nie Warszawianka, ale Litwinka. Niedawno przyjechała do Paryża. Ma zamożnych rodziców w kraju. (*Przyciszonym głosem*) Mówią, że zakochana w towarzyszu podróży tego pana, który wczoraj był u księcia — —

Czwarty z gości

Ach — Traugutta?

Trzeci z gości.

Nie inaczej; ale kto to jest ten Traugutt?

Czwarty z gości.

Figura bardzo tajemnicza. Ale, jak słyszałem od znajomych księcia, że to gorący Polak, a przytem mocna głowa (*tajemniczo*). Ma tu podobno ważne misje, a nawet nietylko we Francji — — —

Trzeci z gości.

(*Jakby sobie coś przypominając*). Acha! ...To już wiem. (*po chwili*) W naszem towarzystwie są dwaj ludzie, o których planach dowiedziałem się mimowoli. Może to nie bez związku z misją tego Traugutta... (*po chwili*) Wczoraj, gdy w tym pokoju zebrało się towarzystwo, przeszli ci dwaj panowie do sąsiedniego gabinetu i nie widząc mnie, w cieniu, za kotarą, zagłębionego w fotelu — zaczęli swobodnie rozmowę (*po chwili*). Mówili — że tego przybysza, mającego takie

zaufanie u księcia i przebywającego tak często w Palais Royal, trzeba za jakąkolwiekbądź cenę skrępować w ruchach, co ważniejsze, przyznawali sobie, że to psuje ich plany. (*z naciskiem*) Widocznie więc oni mają jakieś plany.

Czwarty z gości.

Nie ulega wątpliwości, że mówili o Traugucie.

Głos.

Proszę państwa, śpiewamy! Która z pań podejmie się prowadzić chór.

Drugi Głos.

Panna Anna! Zgodzi się pani — nieprawdaż?

Trzeci z gości.

(*Do czwartego*). W każdym razie, należałoby go ostrzedz.

Czwarty z gości.

Zbyteczne. On jest o opozycji dobrze poinformowany, to człowiek energiczny. Nic sobie z nich nie robi. Słucha Rządu Nar. i robi swoje. Niema powodu obawiać się.

Trzeci z gości.

(*Dodając*). Ma poparcie rządu francuskiego.

Czwarty z gości.

(*Ostrzegając*). Żeby tylko ten rząd francuski nie zawiódł. (*Przechodzą w inną stronę sali*).

SCENA V.

(*Hrabia od jakiegoś czasu przegrywał cicho, od niechcenia na fortepianie; w tej chwili otwiera nuty i gra. Matrona z Anną*).

Matrona.

Anusiu! czemu taka jesteś smutna? Hrabia mówił mi o tobie...

Anna.

Ach, co ja jego obchodzę!

Matrona.

Nie wypada odmawiać, gdy cię proszą...

Anna.

Ale dlaczego to właśnie ja mam śpiewać, gdy tyle śpiewających tu jest? Dlaczego mnie nie dacie spokoju, gdy mam zmartwienie? (*Muzyka nieco cichnie*).

Głosy.

Tak, tak, tak, śpiewamy! panna Anna przoduje. Musi się swoim głosikiem popisać. Czekamy! Prosimy!

Anna.

(*Z wybuchem do Matrony*). Ach! jacy oni natarczywi! Pani! Każą mi śpiewać bezduszne, salonowe piosenki, kiedy u nas, w Polsce brzmi pieśń bólu, łez, krwi, szczęścia i nadziei.

Każą mi śpiewać i sztuczną wesołością kłam duszy zadawać, gdy ja tu jak na wygnaniu, choć w złotej klatce, a w kraju ojca mi więżą! ja nie mogę śpie-

wać błahych piosnek, bo ja jestem stamtąd, gdzie takich nie znają, gdzie tylko smutna i tragiczna rozlega się pieśń...

Matrona.

Ależ to popsułoby humor towarzystwu...

Anna.

Ty mnie Pani nie odczujesz, ty nas nie odczuwasz. (*Po chwili*) Dobrze. Zaśpiewam Wam »Jeszcze Polska nie zginęła« pieśń wesołą, pełną nadziei, którą spiewały Legiony przy cesarzu Francuzów..»

Matrona.

(*Niechętnie*). To już dawne czasy, tego nikt nie zrozumie...

Anna.

A więc inną, francuską. (*Hrabia wstał od fortepianu odwołany przez jakąś damę. Na jego miejscu siada literat*).

SCENA VI.

Anna.

(*Śpiewa po francusku Marsyljankę. Literat przegrywający na fortepianie jakąś melodją na odgłos pieśni Anny wpada w melodję Marsyljanki. Brzmi pieśń gorąco, poparta chórem przez młodych z towarzystwa. Tylko Hrabia i nieliczna grupa starszych, przeważnie konserwatystów, trzyma się na uboczu*).

SCENA VII.

(*Pieśń kończy się, śpiewający stoją zasłuchani w ginące dźwięki. Literat wstaje*).

Jeden ze starszych Franc.

(*Z przerwaniem*). Taka pieśń pod dachem księcia!

Drugi.

Ach młodzi! ach młodzi. Wam zawsze nielegalne myśli się nasuwają.

Hrabia.

Nam, Bonapartystom, nie godzi się wulgarnych słuchać pieśni. (*Wychodzi. Za nim inni*).

Literat.

(*Patrząc za odchodzącymi*). »Ach młodzi!« Z jakiem wy to pobłażaniem mówicie! Prawdę rzekliście: Wy — starcy! Wszelki odrzucacie postęp, by tylko nie zejść z drogi swoich przesądów. Mienicie się przodownikami narodów, Paryż według was jest słońcem Europy, a zamykacie oczy na haniebną niedolę niedawnych sojuszników waszych. Zatykacie uszy na wołania o pomoc uciskanego narodu, bo poza swoją wolnością innej nie widzicie! Skarleliście! W was pozostały tylko popioły minionej przeszłości. W was nie goreje już ogień życia, a tylko męty źle rozumianej wielkości. W młodości teraz siła. (*Do pozostałych*) Hej młoda Francjo! Wyśpiewam ci pieśń równie potężną i gorącą jak Marsyljankę.

Laura.

(*Z entuzjazmem*). Wyśpiewaj Francuzie Północy!

SCENA VII.

Literat.

Boga Rodzico! — Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża.
To Ojców naszych śpiew
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Boga Rodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głowy rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże:
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy.

Noc była... Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie! zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyni krzyże.
Spojrzał — i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Szukał cienia — — i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini
Jeśli w Gedymina grodzie,

Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini
Ten naród — gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach.

Do broni bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie
Z ciemnej pogłębienia toni,
Z popiołów Feniks nowy
Powstał lud — błogosław Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Chór polskich gości.

Boga Rodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża
To Ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew.

Boga Rodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

(*Wzniosły zapanował nastrój*).
[Milczenie].

SCENA IX.

Laura.

(*Występuje z entuzjazmem z koła francuskiego*). Ach piękna jest pieśń ta. Choć nieznany mi jest język wasz, to jednak czuję go całą głębią duszy. Powiedz mi poeto, co to za mowa, że słowa podobne są do szczęku łamanej stali. Powiedz mi, co to za mowa, że gdy nią śpiewasz, to się rozlega cudowna harmonja muzyki, basowe akordy podobne grzmotom i burzy, to znowu dzwonom cmentarnym. Skąd ta potęga i ogień w słowach waszych?

Literat.

Bośmy w ogniu zrodzeni i w ogniu upadli. Bośmy przed wieki modlitwy w boju obronnym śpiewali. Bo odkąd nam Ojczyznę rozdarto, nie znamy nic, prócz skargi i nadziei.

Laura.

Biedni! Długo taką niewolę znosić będziecie?

Literat.

Nie. To już koniec cierpień. Koniec otchłani nędzy. Wyschną wreszcie bagniska męczeńskiej krwi. Runą więzienia. Przybędą tysiące zesłańców do Ojczyzny, pomoc jej nieść.

Czy wiesz, Pani, że ziemia moja, jak długa i szeroka, łuną gorzeje? Wiesz, jakie tam wróg co krok wznosi budowle? Ha, ha, ha — (*z goryczą*) szubienice! Na nich koronują głowy bohaterskie. To podsyca ogień. Wieszatiele pierwsi zawisną! runie przemoc szatańska! My z wiarą walczymy, z męstwem, a to zwycięży. (*do*

towarzystwa) Francjo! nam pomocy trzeba. Pomocy! Bracia! pomni na prochy Bonapartego, do was wyciągamy ręce. Francjo! (*Cisza między zebranymi. Polacy i Francuzi patrzą sobie w oczy*).

ZASŁONA.

SCENA X.

(*Sala pusta. Z pokojów przyległych dochodzi gwar rozmów. Wchodzi ks. Władysław Czartoryski, za nim w drzwiach staje lokaj*).

Książę.

Gdzie państwo?

Lokaj.

Weszli do bocznych salonów. (*Książę znika w drzwiach na prawo*).

SCENA XI.

(*W drzwiach wchodowych ukazuje się Traugutt. Za nim stoi lokaj*).

Lokaj.

Jaśnie Oświecony Książę kazał tu jaśnie pana prosić.

Traugutt.

Czy Książę dawno wrócił?

Lokaj.

Dopiero co przyszedł. (*Przechodzi do drzwi, w któ-*

rych zniknął Książę. Po chwili wraca Książę, za nim lokaj. który niebawem odchodzi).

Książę.

(*Serdecznie*). Ach! witam pana nareszcie! myślałem, że się już dzisiaj nie zobaczymy.

Traugutt.

Cały czas zeszedł mi na audjencjach na dworze.

Książę.

Więc?

Traugutt.

Załatwiłem wszystko co mogłem.

Książę.

I cóż?

Traugutt.

Cały dzień przepędzam między Tuillerjami a Palais Royal. (*Po chwili*). Przyobiecano nieznaczną pomoc.

Książę.

Młody ks. Hieronim jest nam bardzo przychylny.

Traugutt.

On dużo znaczy...

Książę.

Nietylko on, ale teraz wszystko coś znaczy. Lada błahostka zaważyć może.

Traugutt.

Trzeba umieć zawsze przedstawiać rzecz z najlepszej strony.

Książę.

Dyplomacja współczesna jest chwiejna jak chorągiewka na wietrze. A najtrudniej przeczuć, z której strony wiatr zadmie.

Traugutt.

Czy może Książę wie o jakich zamiarach?

Książę.

Nie. Wszystko przybiera obrót, jakiego sobie życzyć należy. Po wysłaniu powtórnych not Francji, Anglji i Austrji, oczekujemy od Rosji jakiejś konkretnej odpowiedzi.

Traugutt.

W tem i hrabia Berg będzie miał głos poważny.

Książę.

Wątpliwe. Zresztą stanowisko generała Berga jest nie do pozazdroszczenia. Prowadzi on nadal politykę reakcyjną, a lud warszawski jest bardzo rozdrażniony...

Traugutt.

Samowola jego postępowania dochodzi do najwyższych granic. Wobec tego margr. Wielopolski, a nawet W. Ks. Konstanty mają ręce zupełnie związane. Zaprowadzono w ostatnich czasach nadzwyczaj czujną policję i Rząd Narodowy baczyć musi ciągle, by go nie wykryto.

Książę.

(*W zamyśleniu*). Straszna ta podziemna walka.

Traugutt.

(*Ciągnie dalej*). Mamy wprawdzie agentów w policji rosyjskiej, którzy tamują jej ruchy w miarę możności. I dotąd wszystko się jakoś kryje.

Książę.

A jakże mają się rzeczy na prowincjach? Sprawa wojska?

Traugutt.

20.000 ludzi nie najgorzej uzbrojonych. Dowództwa obsadzone możliwie najlepiej. (*Po chwili*) Czekają tylko tej interwencji Europy!

Książę.

(*Z troską*). To właśnie najcięższa sprawa.

Traugutt.

Wszak Napoleon...

Książę.

(*Żywo przerywając*). Napoleon III jest nam przychylny. Sprawa polska obchodzi go. Stoi wiernie przy zasadzie narodowości w ustroju Europy. On nam pomoc pierwszy da, jeżeli już i Włochom pomógł w zjednoczeniu się. (*Po chwili*) Chodzi jednak o rychłą interwencję ogólną.

Traugutt.

Ach, gdyby tak cały Zachód nie poprzestał na frazesach, a objawił wreszcie Rosji swą wolę...

Książę.

Właśnie co do tego wzmiankuje Anglja w ostatniej nocie o Kongresie Wiedeńskim. Akcentuje, że Rosji nie wolno naruszać uchwał Kongresu.

Traugutt.

Tak jest. Na tej to zasadzie stawiamy wszystko na ostrzu szabli! Nam nie wolno odbierać praw, które nam przyznano. Upomnieć się zdołamy. Nie możemy ustawać w pracy.

Książę.

Ma pan rację. Walki, skoro raz wybuchła, nie można przerywać. Z męstwem trzeba iść do końca..

Traugutt.

(*Wpadając w słowa*). Kędy nas wiedzie przeznaczenie. Dojdziem, albo padniem, ale potomności musi stać się sprawiedliwość.

Książę.

Ja głową tu działać będę. Cesarz Napoleon z pewnością nam pomoc da. Zachód cały sprawę naszą w obronę weźmie. Pan zaś wiedzą wojskową w kraju pracować będziesz. Wszystko rzuciliśmy na szalę; kości rzucone.

Traugutt.

Pozostało nam tylko: W imię Boże — naprzód! Stworzę armję silną, niezwyciężoną, bo na wierze w pomyślne jutro opartą. Arsenały Francji i Belgji dostarczą nam broni. Wzbudzę uśpiony lud. Ruszy się i powstanie dla świętej sprawy Polska, Litwa i Ruś!

Książę.

Aby Ci Bóg błogosławił w wielkiem przedsięwzięciu! (*Żegnają się. Traugutt wychodzi, Książę zamyślony pozostaje chwilę, niebawem idzie do głównego salonu i niknie w tłumie gości*).

SCENA XII.

(*Z bocznego salonu wychodzą dwaj Dyplomaci. Pierwszy, wysoki, szczupły brunet, z zapiętym na wszystkie guziki surdutem, drugi, starszy trochę, mniej niż średniego wzrostu, jest od pierwszego tęższy*).

Dyplomata pierwszy.

Nareszcie znaleźliśmy wolną chwilę, by spokojnie porozmawiać.

Dyplomata drugi.

Nawet nie zauważono naszego wymknięcia się.

Dyplomata pierwszy.

Wesołe damy i panowie bawią się.

Dyplomata drugi.

Nam ten gwar nie przeszkadza. (*Siadają*) Tutaj (*rozgląda się po sali*) możemy swobodnie wziąść się do rzeczy.

Dyplomata pierwszy.

A więc szybko, póki nas nie zawezwą. Masz pan listy?

Dyplomata drugi.

Właśnie przed przyjściem do pałacu otrzymałem pocztę. Ponieważ sprawa nie cierpi zwłoki, dlatego ją panu teraz przedłożę (*Otwiera listy*) Niech pan czyta! Ignacy Chmieliński pisze, że Rząd Narodowy osłabia sam siebie. Rozdzielił między swych członków różne misje. Rozluźnił się przez to związek i całość rozpadła się na części. Karol Majewski tego nie utrzyma. To darmo. Widocznie Opatrzność nie jemu rządy kraju przeznacza. Ciężkie teraz czasy, teraz trzeba głowy. (*Jakby od niechcenia wskazuje na siebie*).

Dyplomata pierwszy.

Prędzej, bo zauważą nasze tajemne rozmowy...

Dyplomata drugi.

(*Z zapałem*). To trudno, to dla dobra kraju.

Dyplomata pierwszy.

Panie, ależ dyplomata..,

Dyplomata drugi.

Dyplomata powinien mieć głowę na karku, będąc tak pod wozem, jak i na wozie. Oho, panie, ja z nie jednego pieca chleb jadłem. Niema przeto obawy.

Dyplomata pierwszy.

(*Zniecierpliwiony*). Więc jakie są ostateczne wiadomości?

Dyplomata drugi.

(*Przegląda dalej list*). Takie, że Dobrowolski stoi na czele naszej dzielnej opozycji... (*z radością i tajemniczo*) w jego ręce przejdzie władza.

Dyplomata pierwszy.

A wtenczas i my mamy głos...

Dyplomata drugi.

A wtenczas i my wypłyniemy. (*Klepie go po ramieniu*) Pan stajesz się jakim naczelnym komisarzem, ja ambasadorem w Paryżu. (*Z dumą*) Wtenczas imperium rosyjskie z nami pertraktować będzie!

Dyplomata pierwszy,

Nie potrzeba dodawać, że my to robimy tylko dla dobra kraju.

Dyplomata drugi.

Zapewniam Pana, że tylko dla kraju. Nie każda głowa może rządzić. A że przy tem stanowiska nasze pójdą w górę i znaczenie w świecie urośnie — no, to jedno przy drugiem samo się robi.

Dyplomata pierwszy.

Możemy sobie powinszować! (*Ściskają się za ręce*).

Dyplomata drugi.

Możemy. Ale wypada się zabezpieczyć ze wszystkich stron. Wtedy koło fortuny niechybnie prosto się potoczy.

Dyplomata pierwszy.

O co panu chodzi? Czemu pan nie mówi wprost?

Dyplomata drugi.

Zręczny dyplomata nigdy nie mówi wprost, nawet do kolegi. Każda wyrażona myśl dyplomaty winna być owinięta w bawełnę i przedstawiać mętną wodę, z której jednakże da się wycedzić esencję. Każda przemowa powinna wyglądać tak, by z igły można było zrobić widły i na odwrót. Rozumiesz pan? Konieczna dwuznaczność mająca pozory prostolinijności.

Rozumiesz pan? Mówię ci to szczerze i w tajemnicy.

Dyplomata pierwszy.

(*Z pokorą*). Biorę do serca naukę mojego starszego i doświadczonego nauczyciela.

Dyplomata drugi.

A więc teraz, kiedy pan wiesz o co mnie chodzi — do rzeczy.

Otóż ta osoba, która się ciągle po Palais Royal włóczy, mogłaby być dla nas niemiłą. (*Dyplomata pierwszy kiwa głową potakująco*). Niebezpieczeństwo tkwi w tem, że jest to osobistość mająca poważny głos w Rządzie Majewskiego i względy w świecie politycznym Paryża, a nawet Londynu. (*Dyplomata pierwszy jak wwyż*). Jest przytem bardzo energiczna i zamknięta

w sobie, a z takiemi najtrudniej postępować. Jestto właśnie ten Traugutt, o którym donosi nam Chmieliński, że wyprawiony jest przez tymczasowy Rząd. Ów mając tyle danych, mógłby nam pokrzyżować plany i poczynić niemiłe kroki, gdyby...

Dyplomata pierwszy.

(*Przerywając*). Gdyby go nie usunąć natychmiast za wszelką cenę!

Dyplomata drugi.

Ach, znowu, znowu popełniłbyś pan jaką niezręczność. My nie żołnierze, żeby brutalną siłą tamować ruchy i jaką nieprzyjemność na siebie potem ściągnąć. (*Po chwili*) Tu się zrobi wszystko łagodnie, legalnie. Niech sobie lwy ryczą i pazurami rozrywają konia — my cicho jak koty zdusimy wchodzącego nam w drogę.

Dyplomata pierwszy.

Jestem ogromnie ciekawy pańskiego planu.

Dyplomata drugi.

(*Poprawiając się na krześle*). Słuchaj pan: Traugutt ma bardzo zaufanego adjutanta, któremu wierzy nadewszystko. Niechże ten adjutant odstąpi Traugutta, niech zrazi się i będzie przekonany o jakichś wodza swego samozwańczych zamiarach. Możliwe to tembardziej, że jak słyszałem raz podczas rozmowy Traugutta z Księciem, wnioskować można, że nie obca jest mu myśl o dyktaturze. To popsuje mu opinję. Spowoduje to adjutant, który jest spokrewniony i ma stosunki ze

sferami rządzącemi dziś w Polsce i z opozycją. Dotychczasowy Rząd Narodowy będzie siłą rzeczy temi zamieszkami skompromitowany, a uzurpator, jako niepowołany przez nikogo, będzie mógł być słusznie z punktu prawnego obalony. (*Po chwili*) Do tego całego planu jest więc nam jego adjutant bardzo przydatny. Sprawa Traugutta mimowoli stanie się dla Dobrowolskiego jednym krokiem naprzód.

Dyplomata pierwszy.

(*Z zapałem*). Wspaniały plan. (*Po chwili*) Ale kto nakłoni tego adjutanta?

Dyplomata drugi.

Kto? I to obmyśliłem. Narzeczona.

Dyplomata pierwszy.

Ona nawet jest tutaj.

Dyplomata drugi.

(*Wstaje*). Dlatego skorzystamy zaraz ze sposobności. Poprosimy ją tutaj i przekonamy, że powinna odwieść narzeczonego od grożącego niebezpieczeństwa. A jak to niebezpieczeństwo przedstawię, to moja rzecz. Pan zaś potakuj moim i jej słowom i lituj się nad losem bohaterskiego chłopca. Przedewszystkiem trzeba w jej ambicję uderzyć.

Dyplomata pierwszy.

Przyjdzie to tem łatwiej, że poznałem go osobiście w salonach księcia.

Dyplomata drugi.

Tak? a to doskonale! (*Pouczająco*) Spełniaj pan dobrze poruczoną ci rolę, a spryt z mądrością połączony, da pożądany owoc naszej pracy, tylko pamiętaj: ostrożność przedewszystkiem. Ja zaraz z nią przyjdę, a wtedy... (*W zwinnych ruchach udaje się do drzwi w głębi*).

SCENA XIII

(*Wchodzi Anna i Dyplomata drugi*).

Dyplomata drugi.

Nie błaha przyczyna zmusza mnie do zabrania pani chwili czasu i oderwania jej od wesołego towarzystwa. (*Na Annie znać zaciekawienie i obawę*).

Anna.

Nic nie szkodzi, jeżeli to ważne...

Dyplomata pierwszy.

(*Kłaniając się*). Muszę Pani oznajmić o zapale, jaki ogarnął gości, gdy pani odśpiewała »Marsyljankę«.

Anna.

Nie wszystkich.

Dyplomata drugi.

Smutne to dla tutejszego zebrania. Zbytni panuje rozdźwięk między młodymi, a starszymi.

Dyplomata pierwszy.

(*Potakując*). Ach, tak. Ale to nie tylko tutaj zastosować można.

Anna.

Dlaczego tak wymijająco ze mną rozmawiacie panowie! (*Dyplomata drugi kieruje znaczące spojrzenie na pierwszego*).

Dyplomata drugi.

Pani! Chcę szczerze i otwarcie, ale boję się nie rozranić ci serca.

Anna.

(*Ze wzrastającym niepokojem*). Mnie? Na Boga! Cóż się stało?

Dyplomata drugi.

Właśnie to, że młodzi wpadają czasem w pułapkę, z której się już wydostać nie można, że zaślepieni ufają zanadto »starszym« swojej władzy, która — smutne to — umie do swoich celów wyzyskać zaufanie, a o podwładnych równie dobrze potem zapomnieć. Ale nie w tem zło, że kończy się to wszystko gardłem.

Anna.

Błagam was panowie, powiedzcie mi co się stało? Ja umrę z niepokoju! Błagam was!

Dyplomata drugi.

Powiemy, ale dla dobra pani — tylko pani — żądamy jednej rzeczy.

Anna.

Wszystko dam, tylko nie dręczcie mnie niepewnością.

Dyplomata drugi.

A zatem mamy pani słowo — nieprawdaż?

Anna.

Jakie słowo?

Dyplomata drugi.

Że pani nie wypowie nigdy, nikomu, kto panią ostrzegł.

Anna.

Daję.

Dyplomata drugi.

A zatem, niech pani słucha, bo mówią to Polacy, patrjoci i ludzie życzliwi pani, jakich w towarzystwie tutejszem nie znajdziesz: pani narzeczony jest w poważnem niebezpieczeństwie.

Anna.

Co pan mówisz? on w niebezpieczeństwie? Chociaż Książę się tak nim często zajmuje?

Dyplomata pierwszy.

Książę poczciwy człowiek, nic nie wie. Jedynie my o tem wiemy i to przypadkowo.

Dyplomata drugi.

I dlatego spieszymy pani o tem oznajmić.

Anna.

Co mu więc grozi? Kto go może ocalić!

Dyplomata drugi.

(*Z naciskiem*). Tylko pani.

Anna.

A więc go ocalę. Na wszystko jestem gotowa, by go ocalić. Tylko wskażcie mi drogę i powiedzcie wreszcie, w czem leży niebezpieczeństwo.

Dyplomata drugi.

Pani narzeczony wplątał się w sprawę niepewną i zagmatwaną. Właściwie o takiej sprawie należałoby zamilczeć... (*Milczenie*).

Anna.

(*Z wybuchem*). To nieprawda. Nie wierzę! Wy mnie obrażacie panowie! on nie splamił się żadnym złym czynem. Odpowiecie mi za takie postępowanie! Kłamstwo.

Dyplomata drugi.

Że mu grozi niebezpieczeństwo — prawda jest, jak rzekłem...

A zresztą pani zamilczy o wszystkiem. Mamy pani słowo. (*Kłania się z przesadną uprzejmością. Anna waha się*).

Dyplomata pierwszy.

(*Pojednawczo*). Niech się pani nie gniewa, tylko w zgodzie, wziąwszy się za ręce, możemy pana Feliksa wybawić.

Anna.

Pan go zna?

Dyplomata pierwszy.

Oczywiście. Niedawno go wprawdzie poznałem, ale jest on mi blizki, jak Polak na obczyźnie.

Anna.

Więc pan mnie powie całą prawdę co się z nim stało, jeszcze wczoraj go widziałam. (*Dyplomata pierwszy patrzy kłopotliwie na drugiego i czeka milcząc; po chwili mówi*) Pan Feliks nic nie...

Dyplomata drugi.

Pan Feliks nic nie wie, że niebezpieczeństwo czyha na niego ze strony, z której się najmniej spodziewa.

Anna.

Kto to jest?

Dyplomata drugi.

Dała pani słowo, że się nikt prócz niego nie dowie...

Anna.

Słowo. Ale kto to jest? Kto śmie?...

Dyplomata drugi.

(*Cicho*). Traugutt!

Anna.

(*Ze zdumieniem*). On?...

Dyplomata drugi.

Prawdziwości słów naszych może Pani być pewną. Na dowód zaś tego, mam jego list pisany w tej materji do Księcia... (*Kładzie list na stole*).

Anna.

(*Do siebie*). W głowie mi się plącze. Jakto — on? Czy to możliwe? Nic nie rozumiem.

Dyplomata drugi.

Objaśnimy panią, a przestanie się pani dziwić. (*Po chwili*) Tak, to bardzo smutne. Osobiście to dla nas nawet smutne, gdyż oceniamy wartość tego młodzieńca. Prawda jak oliwa na wierzch wypłynęła. Nieobywatelski, a nawet ohydny zamiar powstał w głowie Traugutta. W chwili, gdy losy narodu się rozstrzygają, gdy w kraju z najwyższych stanowisk każdy do szeregu się ciśnie, by krew swoją na ołtarzu Ojczyźnie złożyć, a zagranicą państwa nasze położenie polityczne polepszyć chcą — wtedy pan Traugutt bawi się w posła. Uciekł z pola walki. Znudziła mu się woń dymu i widok poległych. I tu zagranicą knuje nikczemnie plan swój. Ma zamiar obalić cały istniejący porządek i sam mianować się dyktatorem! Ha, zamiast walkę prowadzić, on się po salonach przechadza i zamieszanie wprowadza.

Ale to się nie kończy tak pięknie, jak się zapowiada. Wie pani czem się to kończy? — powrozem. Takie grube ryby najłatwiej schwytać. Traugutt wraca do kraju. Mają tam na niego władze poszlaki. I przez rękę naszego oprawcy, Opatrzność zeszle karę na

wichrzyciela, tego, który zamiast być jednym z walczących o świętą ideę, stanie się samozwańcem, który prywatę swoją wynosi, gdy wszyscy życie i mienie tracą! (*Po chwili*) Traugutta w Polsce napewno pochwycą. Ale dlaczego ma sromotną karę, a pewnie i śmierć, ponieść człowiek niewinny? Pani narzeczony, jako blizki towarzysz Traugutta, w razie, gdyby pozostał nadal przy nim, niechybnie smutnie zakończy. Należy więc go odwieść. On dotychczas jest zaślepiony (*bacznie obserwuje Annę*), bo nie wierzę, by i jemu sprzykrzył się dym prochowy i widok poległych braci...

(*Anna drgnęła na te słowa*). W pani ręku więc ocalenie honoru i osoby narzeczonego. Jeszcze jedno: mam pani słowo, że rozmowa nasza zostanie między nami. Może pani być zupełnie spokojna — mówią to pani ludzie doświadczeni, a co ważniejsza, mówią z życzliwości.

Dyplomata pierwszy.

Naszym obowiązkiem było ostrzedz panią.

Anna.

Boże, Boże, a ja myślałam, że on taki szlachetny, taka mu prawda z oczów patrzy...

Dyplomata drugi.

Są ludzie, którzy umieją pod niewinnym blaskiem oczu kryć serce inne.

Dyplomata pierwszy.

Ja sądzę, że jeszcze nic straconego...

Anna.

(*Zrywa się z zadumy*). Dobrze. Niech czyni jak zechce. Feliks do tego nie przyłoży ręki.

Dyplomata drugi.

My musimy się zbierać. Żegnamy panią, ale jeszcze raz powtarzam: los pani i narzeczonego i ocalenie jego honoru w pani ręku. (*Wychodzą drzwiami do gabinetu. We drzwiach zatrzymują się chwilę*).

Dyplomata pierwszy.

Boję się, czy nie zadużo było powiedziane.

Dyplomata drugi.

Niema obawy. Wszystko poszło gładko.

Dyplomata pierwszy.

(*Patrząc w stronę Anny*). Biedna, niewinna istota! Stała się narzędziem w naszem ręku.

Dyplomata drugi.

Pro publico bono.

Dyplomata pierwszy.

(*Ponuro*) I naszego.

Dyplomata drugi.

I... z przeznaczenia. (*Znikają w gabinecie, w którym pozostają*).

SCENA XIV.

(Gości w sąsiednich pokojach coraz mniej. W saloniku powoli gasną świece w żyrandolach, jedna po drugiej. Po lewej stronie siedzi na krzesełku Anna. Głowę złożyła na stole. Siedzi tak zadumana i zasępiona. Po chwili drzwiami wejściowemi wchodzi Feliks. W przyciemnym pokoju nie zauważył narazie nikogo. Zmierza do gabinetu. Wtem wstaje Anna).

Anna.

Kto to?

Feliks.

(*Zdziwiony*). Anno, ty tutaj... sama? (*Podchodzi szybko, Anna wita się chłodno*) Czemu tak smutnym wzrokiem na mnie patrzysz? Wczoraj inaczej mnie witałaś. (*Cisza*) Anno! milcząca jesteś. Co się stało? Mów! (*Cisza*) Tyś słaba. Ręce masz zimne. Drżysz cała.

Anna. (*Cichym, stłumionym głosem wolno mówi*).

Dokąd idziesz?

Feliks.

Do Księcia, od mego kochanego wodza, od Traugutta. Niosę tajemne papiery. (*Pokazuje tekę*).

Anna.

(*Z wyrazem boleści*). Ach!

Feliks.

Cicho, czego jesteś taka niespokojna najdroższa, powiedz co ci jest?

Anna.

Nic.

(*Goście wyszli już. W sąsiednich pokojach ciemno, w saloniku pogasły ostatnie świece i tylko przez okno wpada do wnętrza blade światło latarń ulicznych; odbija się na posadzce w kształcie dużego okna i ślizga się po sprzętach i szkłach obrazów*).

Feliks.

Tyś taka zmieniona...

Anna.

(*W zamyśleniu, z trwogą*). Feliks, patrz, tam w gabinecie tak ciemno. Ja się boję... Oh, cień jakiś przemknął się przez drzwi. Jak straszno... (*Dwa cienie znikają*).

Feliks.

To ci się zdaje. Przywidzenie. (*Podchodzi do drzwi i nie dostrzegłszy nic, wraca, do Anny*) No, muszę iść.

Anna.

(*Chwytając go za rękę, mówi z grozą*). Nie chodź!! Tam, tam... przed... chwilą...

Feliks.

Uspokój się kochana. Czego chwytasz się tak tej róży? No, masz ją. (*Odpina różę od poły surduta i daje Annie*).

Anna.

(*Anna bierze różę i trzyma ją martwo w dłoniach*). Czerwona róża... jak krew czerwona.

Feliks.

(*Z przerażeniem*). Co ty mówisz?!

Anna.

(*Rzuca mu się w objęcia, mówi z wybuchem*). Nie, ty żyć będziesz, ty mój! ta róża czerwona, to krew zdrajcy... zdrajcy! (*Szarpie różę, rzuca na podłogę i depcze. W szale*). Podła zdrajcy krew. Tak deptana będzie!

Feliks.

Anno, tyś chora, usiądź na miłość Boga, powiedz co się stało? Zaraz powiedz.

Anna.

A jeśli ty...

Niechcę tej róży. Weź mi ją z przed oczu. Przeczuwam zdrajcy krew.

Feliks.

Kto zdrajca?...

Anna.

(*Zrywając się z kanapki*). Kto?! Chcesz wiedzieć? A jeśli się dowiesz, czy porzucisz go?

Feliks.

(*Przerażony*). Ja przy nim? Co to jest? Nic nie rozumiem!

Anna.

Powiedz mi, czemu ty chodzisz po paryskich salonach? Czemu się zginasz w lokajskich ukłonach razem z twoim panem przed lada sługą cesarskim? Czemu

uciekłeś z pola bitwy i porzuciłeś Polskę? Feliks, odpowiedz mi na to pytanie, które mnie dręczy i spokoju nie daje: czemu ty uciekłeś z pola bitwy i przybyłeś tu?

Feliks.

Służyć ojczyźnie tu przybyłem razem z moim wodzem i przytem ciebie mieć szczęście widzieć przy sobie! Ale niedługo wracamy do kraju, a wtedy do szeregu wstąpię z powrotem i ciebie na długo porzucę i...

Anna.

I wódz twój, zdobywszy laury dyktatora, ciebie w dół zepchnie. A potem złapią go i powieszą, ciebie także. Za co, za co masz kończyć taką śmiercią? On nie dla Polski tu siedzi, ale dla swojej prywaty. Chce dyktatorem zostać, do odznaczeń dojść, a tam giną na polu walki bracia jego i twoi. Tam szubienice obciążone męczennikami, gdy tu wódz twój swojej pysze służy i niezasłużonej sławy się dorabia.

Feliks.

Jak możesz!!!...

Anna.

Mogę, bo mówię, co mi sumienie każe. A nie wierzysz, to patrz! (*Bierze list ze stolika i podaje Feliksowi*) Wódz twój sięga po stanowisko, które naród innym ludziom polecił.

Feliks.

Oczom nie wierzę. To podejście!

Anna.

Jego własne pismo. Dowód nieomylny. (*Feliksowi list wypada z ręki*) I ty maczałbyś ręce w tak nieczystej sprawie? Ty, zawsze taki szlachetny?! Gdzie masz honor żołnierza, gdzie dla mnie miłość i dla Ojczyzny?

Feliks.

Anno, ciężka niepewność mnie gniecie. Powiedz mi... (*nagle*) skąd masz ten list?!

Anna.

Dostałam od osoby może najpierwszej po Księciu. która odgadła tajemne zwierzchnika twego zamiary Zresztą widziałeś adres.

Feliks.

Anno, powiedz, co mam czynić, co się stało dokoła mnie?

Anna.

Zdrada. Zdradzono Polskę. Kara niebieska dosięgnie sprawcę czynu, tego, który odważył się w czasie niedoli naszej Ojczyzny po odznaczenia sięgać. (*Ze zmianą w głosie*) Ale ty, kochany, nie pójdziesz tą drogą. Otworzyłam ci oczy...

Feliks.

(*Zrywa się z zadumy*). Anno. nie mogę. Honor żołnierski...

Anna.

Honor żołnierski nie obowiązuje w razie zdrady. (*Po chwili*) Pamiętaj, że jeżeli nie zejdziesz z tej drogi,

to staniesz w oczach moich bez honoru, bez czci, jak tchórz!

Feliks.

(*Gwałtownie*). Nie mów! (*Wyciąga gwałtownie rewolwer z kieszeni i kieruje w swoją stronę. Mówi spokojnie*). Straszną obelgę, którąś mi zadała, zmaże tylko kula. — Bądź zdrowa!

Anna.

(*Wyrywa rapłownie broń, która z łoskotem pada na posadzkę*). Przebacz! Zapomnij! Błagam cię na prochy dziadów twoich, zerwij ze zdrajcą! Wierz mi, bo prawdę mówię! Na wszystkie nasze wspólne świętości, na przyszłe szczęście nasze, zaklinam cię — rzuć zdrajcę! Przysięgnij mi miłość, jako ja ci przysięgam!

Feliks.

(*Cicho, wolno, dobitnie*). Przysięgam!

AKT III.

W WARSZAWIE.

(*Niewielki pokój, w którym odbywają się posiedzenia Rządu Wrześniowego. Na środku stół podłużny suknem nakryty, na stole przybory do pisania. Wkoło krzesła. Na ścianie wisi duży kalendarz z datą 17. października 1863 roku. Na zegarze 10 rano*).

SCENA I.

(*W pokoju obecni są: Józef Narzymski, chodzący niespokojnymi krokami tam i z powrotem i jeden z wtajemniczonych, śledzący coś na ściennej mapie*).

Narzymski.

Spóźniają się.

Jeden wtajem.

Przyjdą, jeszcze czas. A może co nowego w mieście zaszło.

Narzymski.

Niedobrze jest, że dzisiaj ma się odbyć tak liczne zebranie. Możeby jakoś odwołać?

Jeden wtajem.

Niemożliwe, już zapóźno.

Narzymski.

Policji może się wydać podejrzanem wejście kilku osób naraz do kamienicy.

Jeden wtajem.

Przypuszczam, że są na tyle ostrożni, by nie iść całą gromadą przez ulicę.

Narzymski.

(*Wygląda oknem, potem idzie pod drzwi wchodowe. Nadsłuchuje*). Słychać jakieś kroki na schodach, jak biegnięcie.

SCENA II.

(*Wpada Kobylański*).

Kobylański.

Znowu wypadek. Przed chwilą zatrzymali żandarmi jakiegoś przechodnia. Zbadali papiery. Okazały się w nieporządku. Poprowadzono go na śledztwo. Szedłem zdaleka za nimi. Złapany próbował pozbyć się jakiegoś papieru. Rzucił go na ulicę. Zauważono.

Narzymski.

Drżę, czy to może nie coś wspólnego z naszą sprawą...

Kobylański.

Wszystko możliwe.

Jeden wtajem.

Ale co za nieostrożność postępować za nimi!

Kobylański.

Udawałem, że nie zwracam na nich najmniejszej uwagi.

Narzymski.

Spokój. Siedzimy spokojne. Ktoś idzie. (*Podchodzi ku drzwiom*).

SCENA III.

(*Wchodzi Asnyk*).

Asnyk.

Coś się stało. Od rana ruch. Od rogatki moko-

towskiej ciągnie patrol za patrolem. Chwytają i aresztują ludzi we wszystkich częściach miasta.

SCENA IV.

(*Wpada drugi wtajemniczony*).

Drugi wtajem.

Biada Warszawie! Na ulicach wbijają pale i tracą ludzi? Uciekających doganiają kozacy i biją nahajkami! Po wyjeździe W. Księcia męczą ludność coraz srożej!

Narzymski.

Boże, Boże, co się stało? Wczoraj przecież było dosyć spokojnie.

Drugi wtajem.

Mówią, że wykryto jakiś spisek. Na Litwie Murawiew wiesza bez opamiętania.

Narzymski.

Wobec tego może lepiej rozwiązać się?

Asnyk.

W tej części miasta jest względnie najspokojniej.

Narzymski.

(*Podchodząc do okna*). Nie, to coś strasznego, znowu ktoś pędzi przez ulicę — co to znaczy?

SCENA V.

(Do mieszkania wpada z impetem trzeci wtajemniczony).

Trzeci wtajem.

Przybiegam was ostrzedz. Natrafiono na ślad rządu. Rewizje po mieszkaniach, wojsko biega jak szalone Kozacy gonią za mieszkańcami tam i z powrotem nie wiedząc co już robić.

SCENA VI.

(*Wpada czwarty wtajemniczony*).

Czwarty wtajem.

(*Groźnie*). Strzeżcie się, strzeżcie! Ratujcie kraj! Traugutt przyjechał do Warszawy.

Wszyscy.

Traugutt?

Czwarty wtajem.

Oddajcie część władzy w jego ręce?

Trzeci wtajem.

W mieście i kraju niezadowolenie z waszego rządu.

Czwarty wtajem.

Mówią, żeście niedołężni.

Narzymski.

Niech wykaże kto inny większą energię, kiedy wola!

Czwarty wtajem.

Nie sztuka usuwać się, gdy obowiązek gniecie!

SCENA VII.

(*Wchodzą piąty i szósty wtajemniczeni*).

Piąty wtajem.

Nad czem tak rozprawiacie.

Szósty wtajem.

Ciszej! na ulicach słychać gwar z tego mieszkania. Władze rosyjskie pochwycą was!

Narzymski.

Niech przyjdą, niech zabiorą wszystko! skoro wszyscy przeciwko nam!

SCENA VIII.

(*Wpada siódmy wtajemniczony*).

Siódmy wtajem.

Na Boga! Józef Piotrowski skazany na śmierć przez powieszenie!

Kobylański.

Nieszczęście! Wszystko się wyda!

Trzeci wtajem.

Przez waszą nieostrożność! chwyciliście się władzy, nieumiejąc jej utrzymać.

Siódmy wtajem.

Śledztwo o zamachu Berga w toku. Wydaje was służba Zamoyskiego. Wiedzą już władze skąd była wzięta maszyna piekielna.

Drugi wtajem,

Na ślad wasz natrafili już Moskale. Zginiecie! W śniegach Sybiru wasz koniec!

Trzeci wtajem.

Albo w cytadeli!

Kobylański.

Więc przyjmiemy co nas czeka.

Narzymski.

Trzeba coś na obronę naszą przygotować.

Asnyk.

(*Stojąc ciągle na uboczu*). Nie wszystko stracone.

Narzymski.

Musimy znaleźć jakiś ratunek!

Siódmy wtajem.

Zapóźno!

Piąty wtajem.

Nieczas ratować siebie, gdy Ojczyzna ginie!

SCENA IX.

(*Wchodzi naczelnik miasta Pepłowski*).

Pepłowski.

Ratusz się pali na wasze polecenie!

Narzymski.

(*Patrząc w okno*). Oh, już buchnął płomień i słupy dymu wzbijają się w górę. Za chwilę gruzy będą! — — —

Drugi wtajem.

Tak, kraj cały w gruzy zmienicie!

Trzeci wtajem.

I w spalenisko.

Piąty wtajem.

Do tego wasze rządy prowadzą.

Czwarty wtajem.

Bóg skarał Polskę takimi rządami!

(*Na te słowa Pepłowski i członkowie Rządu wrześniowego: Narzymski i Kobylański, z wyjątkiem Asnyka, który stoi na uboczu i będącego przy nim Pierwszego wtajem.— stają po lewej stronie pokoju. Naprzeciwko nich stoją wtajemniczeni. Dzieli ich stół! Patrzą sobie groźnie, z nienawiścią w oczy*).

Narzymski.

Wara im! — — — Jak śmiecie tak przemawiać do Rządu Narodowego?!

Czwarty wtajem. (*Wysuwa się przed innych*).

Wy — rząd? Gdzie macie siłę? Zamieszanie tylko zrobiliście!

Uwiedliście nas na bezdroża!

Trzeci wtajem. (*Wysuwa się przed innych*).

Zrzeknijcie się władzy! Dajcie komu innemu!

Piąty wtajem. (*Wysuwa się przed innych*).

Zdrajców i wichrzycieli z łona waszego wydaliście (*Słysząc to, drgnęli członkowie Rządu*).

Szósty wtajem. (*Wysuwa się przed innych*).

Chmieliński, wykradłszy nasze blankiety opieczętowane, w Galicji fałszywe odezwy wydaje! Kto go uprawnił? W Galicji i w Poznańskiem dezorganizację wprowadził. Dobrowolski uciekł. Wasze słabe ręce nie zdołały temu tamy położyć!

Drugi wtajem.

Nikt was teraz nie słucha! Powagę rządu polskiego naruszyliście.

Trzeci wtajem.

Uzurpatorowie!

Czwarty wtajem.

Naród was nie chciał!

Trzeci wtajem.

Nie wyście Rządem narodowym, ale Rząd czerwcowy.

Kobylański.

Jego już niema. Złożył godność w ręce nasze!

Piąty wtajem.

Boście go do tego intrygą zmusili!

Narzymski.

To Dobrowolski nie my!

Siódmy wtajem.

Jedna partja!

Kobylański.

Ale tylko on rozkazywał.

Szósty wtajem.

A wyście słuchali!

Drugi wtajem.

Bo wam miłe były jego pochlebstwa!

Trzeci wtajem.

Dlatego posłuszeństwa wam odmawiamy!

Narzymski.

(*Postępując naprzód*). To zdrada!

Drugi wtajem.

Baczcie wy, by was zdrajcami nie okrzyknięto!

Pepłowski.

Nie wolno wam naruszać honoru naszego!

Drugi wtajem.

Nie mają honoru ci, co w krwawych dla Ojczyzny czasach prywatę wynoszą!

Trzeci wtajem.

Nie uznajemy was!

Pepłowski.

To bunt!

Drugi wtajem.

Przeciwko zdrajcom! (*Zabierają się do odejścia*).

Trzeci wtajem.

Nie chcemy służyć Dobrowolskiego ambicji, ale sprawie naszej. (*Wychodzi, za nim inni. Drzwi z trzaskiem zamykają się*).

SCENA X.

(*Cisza. Osłupienie panuje. Narzymski kieruje nieme spojrzenie na drzwi, które się przed chwilą głośno zamknęły za odchodzącymi. Pepłowski stoi nieruchomo, dalej Asnyk, Kobylański i Pierwszy wtaj. Ogólne przygnębienie. Po chwili Asnyk i Pierwszy wtaj. odchodzą drugiemi drzwiami*).

Narzymski.

(*Siedząc w fotelu*). Co się stało?

Kobylański.

Straszna odpowiedzialność na nas spadła i złamaliśmy się pod nią.

Narzymski.

(*Jakby sam do siebie*). Kto winien? — — —

Kobylański.

Dobrowolski opuścił nas, gdy czuł, że źle się dzieje — — —

Narzymski.

(*Do siebie*). Odjechał — — — Wszyscy nas opuścili! Trzy tygodnie takiej władzy — — —

Pepłowski.

Nie mamy żadnego oparcia, straciliśmy powagę.

Kobylański.

Nie mamy już czem rządzić. (*Po chwili*) Komuby pieczęć przekazać? (*Naraz rozlegają się kroki na korytarzu. Słychać pukanie do drzwi*).

SCENA XI.

(*Wszyscy zrywają się, strwożeni słuchają. Po chwili wchodzi Traugutt, a za nim Józef Gałęzowski i Józef Janowski. Zebrani kierują pytający wzrok na Traugutta*).

Traugutt.

(*Wszyscy czekają spokojnie. Traugutt mówi powoli, nie głośno, ale dobitnie*).

Uznany przez Litwę i Ruś, za wolą obalonego przez was Rządu i zgodą członków Rządu obecnego, panów Gałęzowskiego i Janowskiego, obejmuję w tej chwili władzę naczelną, którą będę sprawował sam, a dzielił się nią tylko w miarę mego uznania. Opieram władzę swoją na wojsku, które tworzę i na zagranicy. Od tej chwili nie zniosę żadnego oporu, żadnego przeciwnego stronnictwa i z całą surowością militarną przeciw tym wystąpię. Wszelką zgniotę samowolę i prywatę i niezmordowanie będę prowadził walkę z wrogiem, aż ją doprowadzę do pomyślnego końca. I silną wiarą w niespożytość sił narodowych, nie ugnę się przed niczem.

Wy panowie jesteście wolni i możecie sobą rozporządzać. Przedtem jednakże oddajcie mi pieczęć.

(*Głębokie westchnienie na znak radości i ulgi wydobywa się z piersi ustępujących. Kobylański oddaje Traugutłowi pieczęć*).

Traugutt.

A teraz, w Imię Boże, do dzieła!

Pepłowski.

Generale, pamiętaj, że bierzesz wielką odpowiedzialność przed krajem.

Traugutt.

Nie uchylę się pod tym ciężarem, ile mi sił starczy będę pracował dla świętej idei — chyba, że mi śmierć drogę przerwie, tak mi Boże dopomóż!

AKT IV.

W WARSZAWIE.

(*Pokój dosyć obszerny. W głębi dwa okna. Pod jednym z nich biurko zarzucone papierami, między oknami kanapa. Na środku niewielki stolik, wkoło niego kilka krzeseł obitych ciemną, wełnianą materją. Po prawej ścianie zwykłe, żelazne łóżko, nad niem krzyż. Za łóżkiem drzwi, po lewej stronie także drzwi wchodowe. Pokój robi wrażenie bardzo skromnego. Jest to siedlisko pracy dyktatorskiej Traugutta*).

SCENA I.

(*W pokoju zmrok. Przy stole siedzą: Traugutt, sekretarz Rusi Maryan Dubiecki. Przeglądają mapy i papiery*).

Dubiecki.

Bosak posunął się znowu naprzód.

Traugutt.

To dzielny człowiek. Z hrabiowskiej pościeli poszedł do szeregu i wspólnie z innymi twardy, żołnierski chleb spożywa. Takich nam trza jaknajwięcej.

Dubiecki.

Wtedy nie zginiemy!

Traugutt.

Tymczasem jednak nie wielu takich mamy.

Dubiecki.

Ale są dusze wzniosłe. Są serca Ojczyznę miłujące.

Traugutt.

O kim myślisz?

Dubiecki.

Rafał Krajewski do tych należy.

Traugutt.

Co z tego, że to zacna dusza, że to poeta? Dlatego właśnie nieodpowiada na powierzone mu stanowisko. Tyś młody jeszcze, inne masz sądy od moich, ale wierz mi, nie poetów nam potrzeba, ale ludzi czynu — mniej myślicieli, a więcej robotników. Układami nigdy nie wyzwolimy Polski. Przyszłość nasza w ogniu się zrodzi — przeto wojska trza. Tak, wojska mocnego. Jedna dywizja tęgiego żołnierza więcej zdziała, niż zastępy polityków. Bo dyplomacie polskiemu odpowie dyplomata rosyjski kilka mniej lub więcej sensowych frazesów i prześle kilka kłamliwych uśmiechów, a na siłę wroga odpowiemy również siłą, stawiając naprzeciw niego wojsko. A wtedy męstwo chwyciwszy w dłonie swe miecz — mieczem sprawiedliwość wymierzy.

Dubiecki.

Dokona tego Polska pod wodzą Twoją, Dyktatorze! — — —

Traugutt.

Nie nazywaj mnie przyjacielu tem imieniem.

Dubiecki.

Przecież jesteś nim...

Traugutt.

Jestem nim, bo musiałem wziąć na siebie ten ciężar, skoro żaden z nas nie chciał go przyjąć, lub nie umiałby podołać zadaniu.

Dubiecki.

Ciebie Wodzu, Opatrzność przeznaczyła na to stanowisko.

Traugutt.

Mnie tylko miłość Ojczyzny pchnęła do tego.

Dubiecki.

W ciebie patrzą wszyscy i wiedzą, że ty jedynie poprowadzisz walkę dobrze.

Traugutt.

Patrzą tylko we mnie, a siebie nie pilnują. Niechby każdy i w swoją pracę wglądnął i więcej serca w nią wkładał, szczęśliwiej by się nam wiodło...

Dubiecki.

A co najwięcej w odbudowie Ojczyzny przeszkadza: prywata i zdrada.

Traugutt.

Zdrada — — — Ile już odstępstw dałoby się naliczyć, ile nadużyć! (*Po chwili*) Nawet ten, któremu tak ufałem, kochałem jak syna — opuścił mnie!

Dubiecki.

Bolesne to.

Traugutt.

Oh! ogromnie, bo się widzi, że nawet wśród dawnych przywiązanych znajdują się charaktery słabe.

Dubiecki.

Ten adjutant dla miłości prywatnej to zrobił. Kobieta go do tego namówiła, jakaś szalona! Przez jej namowę porzucił ciebie i uciekł. Od czasu powrotu z Paryża oczerniał cię przed znajomymi i szkodził nam jak mógł. Nawet przejmował rozkazy twoje. — — —

Traugutt.

Co mówisz?! Że przeciw mnie w ohydny sposób walczy, przebaczyłbym mu, ale gdy naszej narodowej walce przeszkadza, to nikczemność! Natychmiast go pochwycić i skrępować!

Dubiecki.

Już to uczyniono. Lecz nie my, tylko Moskale.

Traugutt.

Moskale? — — —

Dubiecki.

Dwa tygodnie temu zaaresztowała go policja w jego własnem mieszkaniu, na podstawie denuncjacji.

Traugutt.

I ty mi nic nie mówiłeś?

Dubiecki.

Sam dowiedziałem się dopiero dzisiaj rano od doktora Dybka. Myślałem, że i pan jest o tem uwiadomiony.

Traugutt.

Ależ ja nic nie wiedziałem. No — mów mi o szczegółach.

Dubiecki.

Po dokonaniu rewizji znaleziono u niego nasze rozkazy opatrzone pieczęcią, które on przejmując zatrzymywał u siebie.

Traugutt.

Jeśli w rosyjskich rękach jest on i nasze rozkazy, to po nici dojdą do kłębka.

Dubiecki.

Nie dojdą. Jest tam kilka tylko rozkazów, niepodpisanych — jak zawsze zresztą — nazwiskiem, tylko opieczętowanych. Adresowane są do wodzów powstańczych, których nazwiska oni i tak dobrze znają.

Traugutt.

Ale on przecie wyda!

Dubiecki.

Właśnie o to się bałem najwięcej. Jakże jednak się ucieszyłem, gdy dowiedziałem się, że schował tajemnicę jak do grobu. To dziwny i niezrozumiały człowiek. Od dwóch tygodni biją go i katują, żeby powiedział, kto wydaje w Polsce teraz rozkazy, no a on

zaciął się, milczy. Mówi tylko, że jego rodak, a rodaka — — — i tu wypowiedział straszne słowo.

Traugutt.

Co rzekł? Czemu się wahasz?

Dubiecki.

(*Nieśmiało*). Powiedział, że rodak, choćby dla pychy tylko rządził, choćby był zdrajcą — on go nie wyda.

Traugutt.

Więc on by sądził — — — Nie, to straszne, za tyle cierpień takie słowo usłyszeć!!

(*Po chwili ochłonąwszy*). Dziwne, dziwne — — —

Dubiecki.

Na obronę jego możnaby powiedzieć, że on w dobrej wierze to czynił. Opętali go, okłamali.

Traugutt.

W każdym razie to zastanawiające. Znaczy, że on padł ofiarą czyjejś intrygi.

Dubiecki.

I jego narzeczona.

Traugutt.

A gdzie ona?

Dubiecki.

Także na »Pawiaku«. Ale z jej strony nie grozi

niebezpieczeństwo. Zapowiedział jej, że jeśli ona słowo wyjawi, to się zabije. Ona go szalenie, nad życie kocha, więc niema obawy, by się od niej czegoś dowiedziano.

Traugutt.

Trudne do pojęcia, co się to dzieje. — — —

Dubiecki.

Ta para, to dwie tragiczne dusze, które złamały się pod klątwą losu i runęły w przepaść.

Traugutt.

(*Otrzeźwiwszy się z zamyślenia*). Ale to dla nas wskazówka, że myśmy się nagiąć nie powinni. (*Chwila ciszy*)

SCENA II.

(*Drzwiami z lewej strony wchodzi dyrektor spraw wewnętrznych dr. Włodzimierz Dybek*).

Traugutt.

Dobrze zrobiłeś, że przychodzisz do nas doktorze, właśnie mam teraz rzadką wolną chwilę.

Dybek.

Chętnie pogawędzimy. Idę prosto z lecznicy. O zmroku łatwiej przejść spokojnie. Zresztą zaraz wracać muszę,

Dubiecki.

Teraz przecie ucichły już patrole i nie tak włóczą się po mieście.

Dybek.

Nie zupełnie. Śledzą nas ciągle niezmordowanie. (*Siadają*).

Traugutt.

Nie wychodzę prawie na miasto. Pracuję w tym tylko pokoju. Stąd rozchodzą się dekrety i listy.

Dybek.

Oto co robi niewola! Władza zrywająca kajdany Polski musi się kryć po nieznanych domach.

Traugutt.

A dyktator, jak zbrodniarz, uciekać przed bacznym okiem wroga!

Dybek.

(*Do Dubieckiego stojącego pod oknem*). Co tam nowego na świecie?

Dubiecki.

Postawiono straż przed fabryką. Kilku żołnierzy otoczyło grupę robotników. Badają ich papiery. Zdaje się, że ich uwiężą. (*Traugutt i Dybek podchodzą do okna*).

Traugutt.

Zwykły obrazek.

Dybek.

Pewnie między robotnikami dusza polska się odezwała i tam duszę — chcą zgnieść w zarodku.

Dubiecki.

Próżny trud; nie zdusi się tego, co pożarem wybuchnęło.

Dybek.

Smutno patrzeć na to.

Traugutt.

(*Wskazując na żołnierzy*). A nikt z tamtych nie wie, że nad nimi z okna, patrzy na nich dyktator. Ha — ha, ha! za którego głowę tyle ofiarowali.

Dybek.

O, tragedjo Polska! O, Narodzie! W norach ukryci Wodze Twoi, bez imienia, bez stopnia. Sami w zapomnienie pójdą, a pokoleniom owoc Czynu zostawią na wieki! (*Milczenie*) Patrz dyktatorze! Czy dzieją się gdzie takie anomalje, jak u nas? Każde społeczeństwo gdy się wyzwala, to czyni walkę swoją zupełnie jawną. Wróg walczy wtedy z dawnym, ujarzmionym narodem, jak z równym sobie. Wszyscy się o niego upomną. Jakże u nas inaczej. Tylko spojrzeć na to wymarłe miasto. Niema sobie ono równych w Europie. Widok codzienny, to kozak stepowy, pędzący na dzikim koniu przez ulice dawniej wesołe. — — — Tylko przypomnieć sobie grozę chwili, gdy do otwartych kościołów wpadał tłum rozbestwionego żołdactwa, by więzić modlących się!

Traugutt.

Nie warto rozpamiętywać. Dużo mąk znosiliśmy, a jeszcze nie jedne nas czekają. Przeszkody nie powinny nas zniechęcać ale zdwajać energję do pokonania ich. »Więcej wiary i energji a mniej wymagań, to się rzeczy prędzej zrobią«.

Dubiecki.

Przecież musi kiedyś przyjść godzina, że przemoc ustąpi. Czyż wiecznie trwałaby niesprawiedliwość?

Traugutt.

»Bywa czasem, że to, co dziś do prawdopodobnych rzeczy zaliczyć trudno, jutro okazuje się prawdziwem«. Miejcie się przytem na baczności i bądźcie gotowymi na wszystko.

Dubiecki.

O tem nie wątp Wodzu! Jesteśmy gotowi na wszystko, nawet na śmierć.

Traugutt.

Nie o śmierci, ale o życiu nam myśleć. Trza w Jutro wierzyć.

Dybek.

A przyjdzie czas, gdy hańba nasza się skończy!

Traugutt.

(*Po chwili*). Tylko dla Ojczyzny, panowie, przyjąłem władzę naczelną. »Nieograniczona ufność w Opatrzność i niewzruszona wiara w świętość sprawy naszej dodawała mi siły i odwagi, aby w takich okolicznościach przyjąć poniewieraną władzę. Pamiętałem o tem, że władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambicji i że poświęcenia tego odmawiać Ojczyźnie nie mogę, kiedy widzę konieczność«.

Uczucia miłości dla Ojczyzny nigdy nie zdołali wrogowie we mnie wytępić. Niosłem je przez całe życie, pod mundurem rosyjskim i na obczyźnie, za wroga

krew przelewając. Święte uczucie miłości dla Narodu zawsze pozostało w duszy mojej niezachwiane. Życie moje było jednem marzeniem o Polsce wolnej, wspaniałej i szczęśliwej jak niegdyś. Wszystko składałem Jej w ofierze i dzierżę wszystkiemi siłami jaknajwyżej sztandar narodu, aby nic nie uronić z wielkości idei, z godności narodowej, z moralnej jedności narodu — to reszta w ręku Boga.

Przed wami czynię to moje wyznanie. — —

Dybek.

Wodzu! taki jesteś niespokojny. Co ci jest?

Traugutt.

(*Ponuro*). Nikt nie wie dnia ani godziny, gdy go zawezwie Przeznaczenie.

Dubiecki.

Wodzu! Mówiłeś mi, że my tylko do życia winniśmy dążyć.

Traugutt.

Myliłem się. Na mnie pierwszego, jako na wodza spada odpowiedzialność. Mnie najwięcej wróg poszukuje. W razie, gdybym ja już nie mógł walki prowadzić — wy nie ustawajcie, ale z chrześcijańską wytrwałością prowadźcie dzieło wyzwolenia do końca. Pamiętajcie, że nas przyszłe pokolenia sądzić będą, że ich szczęście tylko od was zależeć będzie. Nie liczcie na pomoc świata, której nigdy się nie doczekacie, ale na swoje siły.

Dubiecki.

Przecież ty Wodzu będziesz czuwał nad powstaniem — — —

Traugutt.

Do ostatniej chwili wolności pracować będę, ale w tych warunkach nikt nie wie dokąd wolnym będzie.

Dybek.

Tak, twarda to rzeczywistość. To, co mamy zdziałać, ma trwać wieki, a praca nasza wykonywana jest pod groźbą ciągłej niewoli. (*Po chwili*) Ale właśnie dla tego nie wolno nam tracić czasu. Muszę wracać. (*Wstaje i żegna się*).

Traugutt.

Obyś szczęśliwie doszedł na miejsce doktorze!

Dybek.

Da Bóg. (*Wyjmując z kieszeni latarkę*). Jestem zaopatrzony w dokumenty podług przepisów. (*Do Dubieckiego*) Ma pan zapałki?

Dubiecki.

W tej chwili zaświecę. (*Zaświeca latarkę*).

Dybek.

Idącego z taką przepisową latarką, policja nie tak napastuje. (*Po chwili zwracając się do Dubieckiego*) Ale, pana chciałem prosić o zabranie odemnie listów do opieczętowania; może pan by poszedł ze mną?

Dubiecki.

Owszem. Zaraz weźmiemy latarkę. (*Zaświeca lampę na biurku i swoją latarkę*).

Traugutt.

(*Do doktora*). Dlaczego nie przyniosłeś ze sobą tego, doktorze?

Dybek.

Jeszcze nie wszystko było skończone — a musiałem być na czas w lecznicy. Za godzinę załatwię się z listami i przez pana (*wskazuje na Dubieckiego*) zwrócę.

Traugutt.

Dobrze. Poczekam, ale nie długo, bo wieczór się kończy i bramy zamkną.

Dubiecki.

Wrócę jaknajprędzej. No, idziemy doktorze!

Dybek.

Idziemy, ale każdy inną ulicą. Spotkamy się dopiero w moim mieszkaniu. Paszport pan wziął?

Dubiecki.

Tak.

Traugutt.

Szczęśliwej drogi.

Dybek.

I rychłego zobaczenia. (*Wychodzą i znikają w ciemności korytarza*).

Traugutt.

(*Pozostawszy sam*). Niewiadomo — — —

SCENA III.

(*Cisza. Słychać tylko monotonne tyk-tak ściennego zegara. Lampa rzuca mętne światło na pokój. Dyktator chodzi chwilę po pokoju, potem siada przy biurku i przerzuca papiery. — Wchodzi drzwiami ze strony prawej pani Kirkorowa*).

Pani Kirkorowa.

Proszę pana, czy bardzo pan zajęty?

Traugutt.

Jestem zajęty, bo co?

Pani Kirkorowa.

Przyszedł jakiś pan i chce się konieczne, zaraz widzieć.

Traugutt.

(*Z niecierpliwością*). Ze mną? Kto to jest?

Pani Kirkorowa.

Nie znam go, ale — — — z rosyjska zacina.

Traugutt.

Skąd on wie, że ja tu mieszkam?

Pani Kirkorowa.

Niewiem, mnie się to dziwne wydaje, przecież do

pana tylko kilka osób przychodzi i nikt więcej nie zna mieszkania.

Traugutt.

I co on?

Pani Kirkorowa.

Powiedział, że jeżeli go nie wpuszczę, to on tu gwałtem przyjdzie, że on tu zaraz musi przyjść.

Traugutt.

Ha, niema rady. Niech go pani prosi. (*Pani Kirkorowa odchodzi*).

SCENA IV.

(*Wchodzi nieznajomy. Jest wzrostu dosyć wysokiego, ubrany po cywilnemu, w opięty na wszystkie guziki surdut. W ruchach zdradza wojskowego*).

Nieznajomy.

Proszę pana, przyszedłem z ważną wiadomością.

Traugutt.

Co za wiadomość?

Nieznajomy.

Moskale wiedzą o panu. Lada chwila wpadną tu do mieszkania.

Traugutt.

Skąd ta pewność?!

Nieznajomy.

Nie mylę się, za chwilę może pan być aresztowany. Póki czas uciekaj pan!

Traugutt.

(*Zniecierpliwiony*). Nigdy nie uciekam!

Nieznajomy,

(*Z wybuchem*). Generale, ratuj się!

Traugutt.

Skąd pan wiesz, że jestem generałem? Pan coś za dużo wiesz?!

Nieznajomy.

Ja wszystko wiem, co się dzieje — — — w powstaniu.

Traugutt.

(*Który drgnął na te słowa*). Więc może — — —

Nieznajomy.

Zgadłeś generale. Ja jestem tym. (*Pokazuje przypiętą pod mundurem oznakę rosyjskiej policji*).

Traugutt.

Aa!! tak!!

Nieznajomy.

Ja dlatego wszystko wiem i mówię ci Wodzu, ocal się, póki czas! Ja jestem Polak. (*Traugutt z niedowierzaniem patrzy na przybysza*). Nie wierzysz, generale,

no to patrz! (*Odkrywa surdut i koszulę i ukazuje na piersi ryngraf z orłem polskim*). Teraz wierzysz. Widzisz, ja na sercu pod rosyjskim mundurem kryję orła polskiego. Wszak i ty tak kiedyś czyniłeś.

Gdzie mogę, ostrzegam was, a ciebie, pierwszego generale! W twoją tajemniczą niewidzialną rękę wpatrzony Naród. W moc twoją wierzy, choć nie zna ciebie. W pułku naszym dziwy o Tobie bają. W bitwach bali się z Tobą spotkać. Taka moc od ciebie we wszystkich bije. Mówi ci to, choć rosyjski służalec, ale wasz rodak! — — — Z ojca wygnańca zrodzon, wśród tyranów wychowan jestem. Ciebie wodzu ostrzęgam przed nimi. Słuchaj, dzisiaj dowiedzieliśmy się, gdzie mieszkasz Generale, póki czas — — —

Traugutt.

Zostanę tu. Wytrwam do ostatniej chwili.

Nieznajomy.

Ależ to śmierć nieunikniona — — —

Traugutt.

Wypiję więc kielich mnie przeznaczony. Biorąc płaszcz dyktatora, wiedziałem, jaki koniec możliwy.

Nieznajomy.

Jeżeli nie ujdziesz — Twój płaszcz purpurą spłynie, Generale!

Traugutt.

Do ostatniej minuty zostanę tu! Rozumiesz pan?

Sprawy mi powierzonej dobrowolnie nie opuszczę. Czekam na Los, który jest w ręku Boga.

Nieznajomy.

Wola twoja. Ostatni na mnie czas Generale idę; ale pamiętaj: niewiadomo dnia ani godziny, kiedy was zawezwie Przeznaczenie.

Traugutt.

Ja zawsze jestem gotów. *(Żegna się serdecznie z nieznajomym)* Żegnaj mi. Nie zapomnę ci nigdy tego ostrzeżenia! (*Nieznajomy wybiega cicho drzwiami prowadzącemi na korytarz*).

SCENA V.

(*Traugutt sam*).

Traugutt.

Skończyło się. Sześć miesięcy żmudnej pracy dobiega końca. Boże ojców moich, staję oto przed Tobą w przededniu sądu. Śmierć u drzwi już czeka. Wejrzyj przeto w duszę moją! Jeżeli uznasz pragnienie moje, to błagam Cię, niech spełni się marzenie, które jest marzeniem braci moich. Daj im po śmierci mej nadal bronić świętej ziemi. Polski Orędowniczko! Z Twoim Imieniem na ustach ściskałem w dłoni tę szablę na obczyźnie będąc i w kraju. Nie dozwól ziemi naszej w hańbie niewoli leżeć! Nie daj im ugiąć się pod ciężarem niedoli. Wejrzyj w serce moje, które zawsze świętą miłością Ojczyzny gorzało! Boże wielkich daw-

nych królów moich sądź czyny moje! (*Cisza. Po długiej chwili z mieszkania pani Kirkorowej dochodzą głosy*).

Pani Kirkorowa.

Czego tu chcecie? Tu nie ma nikogo.

Głos Podoficera.

Tutaj mieszka pan Michał Czarnecki?

Pani Kirkorowa.

Czego tu chcecie po nocy?

Głos.

Proszę mnie prowadzić.

Pani Kirkorowa.

Nie mogę.

Głos.

Czemu?!

Pani Kirkorowa.

Późno już noc.

Głos.

(*Groźnie*). Brać ją.

Pani Kirkorowa.

Aaa — — —

SCENA VI.

(*Wtem słychać stuk karabinów o podłogę i zbliżający się odgłos kroków. Jedne i drugie drzwi otwierają się nagle.*

Wchodzą żołnierze w długich, zimowych jeszcze płaszczach. Na czele ich stoi Podoficer o rysach kałmuckich, o fizjognomji pijackiej, głupiej. Traugutt zamyślony, nie widzi ich w pierwszej chwili).

Podoficer.

Czy tu mieszka pan Michał Czarnecki, kupiec z Galicji.

Traugutt,

(*Dô siebie*). »To już«.

Podoficer.

Czy tu?

Traugutt.

Tak.

Podoficer.

Nu, a proszę pokazać paszport. (*Traugutt podaje leżący w szufladzie biurka paszport. Podoficer patrzy przeniklivie na Traugutta.* No, a czy pan jesteś pan Czarnecki, czy pan Romuald Traugutt?

Traugutt.

Traugutt.

Podoficer.

Aa? To pan jesteś naczelnik polskiej siły zbrojnej, co? Gadaj pan zaraz!

Traugutt.

(*Zniecierpliwiony*). Z tobą nie będę mówił. Prowadź mnie do swojej władzy!

Podoficer.

Taak? Tak sobie pan poczyna. Dobrze. (*Rzuca rozkaz żołnierzom*). W areszt. (*Kilku żołnierzy otacza i wyprowadza Traugutta drzwiami w głębi. Podoficer zwraca się do reszty żołnierzy*) Rewidować mieszkanie. (*Żołnierze rozchodzą się. Zostaje Podoficer. Gorączkowo przerzuca szuflady biurka. Dostrzegłszy w jednej sakiewkę z pieniądzmi, bierze ją do ręki i obejrzawszy się dookoła, czy go nikt nie widzi, chowa sakiewkę nieznacznie do kieszeni*).

Ha, ha, ha. — Otóż i pieniążki są. Dobre Polaki; gdzie tylko areszt, tam i pieniądze. Che — che — udało mi się dzisiaj. Złapałem nareszcie gienerała. Zapłacą. Hu, hu, jeszcze jak zapłacą! Będzie picie z kamratami. A jeszcze i sława. Wszyscy będą mówili, sam major powie: ty Fiedor Iwanowicz polskawo gienerała schwytał, dyktatora — — —

Che — che — che — che — che. Dyk — ta — tor!

AKT V.

W CYTADELI.

(*Ponura cela więzienna cytadeli. Drzwi na wprost z wyrzniętym okienkiem prowadzą na korytarz. W lewej ścianie zakratowane okienko. Ściany brudne, niegdyś bielone. Po prawej stronie siennik, obok krzesło. Zresztą cela pusta. Przez czas trwania pierwszej sceny żandarm ustawicznie zagląda przez okienko w drzwiach*).

SCENA I.

(*Traugutt siedzi na posłaniu. Po chwili wchodzi Kapucyn*).

Ksiądz.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Traugutt.

Na wieki wieków.

Ksiądz.

Duszę spragnioną pocieszyć przyszedłem — ostatni raz. (*Siada na krześle*).

Traugutt.

Dziękuję Ci, księże. Widzenie się z tobą, to moja rozrywka, prócz modlitwy.

Ksiądz.

Tak, modlitwa, to jedyna ostoja w nieszczęściu.

Traugutt.

Modlę się też dniami i nocami. Ulgę mi to ogromną sprawia. Powiedz mi, księże, czy Bóg zawsze ludzi wierzących wysłucha?

Ksiądz.

Zawsze, choć nie odrazu, bo pamiętać należy, że Bóg nie tylko o szczęściu naszem doczesnem pamięta, ale przedewszystkiem o wiecznem. Tam, w niebie nasze wieczne szczęście — tu na ziemi tylko wędrówka.

Traugutt.

Dlatego się ciebie spytałem, bo mam jedną prośbę do Boga, o której spełnienie całe życie się modliłem.

Ksiądz.

Jakaż to?

Traugutt.

Prosiłem go, by naród przestał być męczonym. Czy stanie się to?

Ksiądz. (*Kiwa w zamyśleniu głową*).

Nigdy nie wątpiłeś, a teraz się pytasz?

Traugutt.

Tak, księże, bo tyle ofiar padło, tyle krwi przelano, umierano z modlitwą na ustach a my w coraz większej przepaści toniemy.

Ksiądz.

Nigdy nie wolno nam tracić nadziei. Po ciężkich grzechach, długa pokuta następuje. Lecz w czasie pokuty dusza hartuje się i szlachetnieje; tak i z naszym narodem jest.

Traugutt.

A kiedy pokuta się skończy?

Ksiądz.

Może za kilka, a może za lat kilkanaście.

Traugutt.

Przyjdzie więc potem szczęście? I naród rozkuje pęta i poczuje się wolnym! Niedarmo więc nasza praca tu była.

Ksiądz.

A wasze cierpienia są kamieniem węgielnym pod odbudowę Ojczyzny.

Traugutt.

Wierzę w to mocno i dlatego raduję się w głębi serca, że i ja cierpię. Wiesz, księże, gdyś mi Najświętszego Sakramentu dzisiaj w nocy udzielał, to byłem taki szczęśliwy, bo czułem że się z Bogiem połączę na wieki i tam, u Niego spoczynek wreszcie znajdę.

Ksiądz.

I nagrodę za ofiarne życie.

Traugutt.

Postępowałem zawsze, jak mi sumienie mówiło, z bezwzględną ufnością i wiarą, że Stwórca sprawiedliwość wymierzy.

Ksiądz.

Spokojnie przeto oddaj Mu duszę twą pod sąd.

Traugutt.

Tak też uczynię.

Ksiądz.

Jakie masz zlecenia do rodziny? Wypełnię.

Traugutt.

Powiedz księże żonie mej, by córeczki zawsze w Wierze Chrześcijańskiej i na dobre Polki wychowywała. Niech dziateczki moje jak najlepsze wychowanie naukowe odbiorą i nigdy nie odstępują od prawych zasad. By matka nad ich życiem czuwała. Nakoniec niech modlą się za wieczność szczęśliwą swego ojca i męża. Oto moje ostatnie zlecenia. Powiedz im, że w ostatnich

chwilach życia o nich myślałem. (*Otwierają się drzwi i do celi wchodzi Żołnierz*).

Żołnierz.

Dosyć już. Co tak długo.

Ksiądz.

(*Wstaje*). Żegnaj generale! Duszę twoją czystą Bogu polecam. (*Cicho, na pół do siebie*). Cierpieli wybrańcy narodu przed tobą — cierpisz ty — po tobie cierpieć będą długie lata. A stanie się koniec męce i przyjdzie szczęście i Wolność. (*Głośniej*). W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen. (*Wychodzi, za nim Żołnierz. Drzwi zostają otwarte*).

SCENA II.

(*Po długiej chwili rozlega się w korytarzu brzęczenie ostróg i wojskowymi krokami wchodzą do celi generał Lebiediew i pułkownik saperów Zdanowicz*).

Gen. Lebiediew.

(*Zatrzymuje się nagle w drzwiach i przeginając się w tył, spogląda na tabliczkę umieszczoną nad drzwiami od strony korytarza*). Czy to numer dwndziesty?

Zdanowicz.

Tak jest, panie gienerale. (*Wchodzą*).

Gen. Lebiediew.

A otóż i jesteśmy na miejscu. Przyszliśmy do pana

na ostatnią wizytę. Jak się pan czuje, panie Czarnecki. (*Siada na krześle, za nim staje pułkownik Zdanowicz*).

Traugutt.

Traugutt jestem, panie generale.

Gen. Lebiediew.

A, pan Traugutt. Przepraszam. Ja się ciągle mylę, bo pan był w Warszawie za paszportem Czarneckiego.

Traugutt.

Tak, ale gdy zaaresztowaliście mnie, powiedziałem wam, kim jestem.

Gen. Lebiediew.

No, a czemu pan powiedziałeś? Gdybyś o tem zamilczał, to pana nie obciążyłyby tak zarzuty. Mógłby się pan nawet uratować.

Traugutt.

Gdybym chciał, tobym się ucieczką ratował.

Gen. Lebiediew.

(*Z obłudną łagodnością*). A źle pan zrobił. Pan jako ukochany generał mógł łatwo pomoc znaleźć i dzisiaj siedziałby pan gdzieś w zaciszu. Ot, pan dobrowolnie dobry los odrzucił.

Traugutt.

Do ostatniej chwili byłem przedewszystkiem walczącym żołnierzem.

Gen. Lebiediew.

I przegrał pan sprawę. A mając takie dane można było wiele dokonać — — — Między moimi żołnierzami wieści chodzą, że mieliście w mieszkaniu przy ulicy Smolnej jakieś nieznane wejścia i urządzenia. Podobno, że tam pod ziemią jakieś olbrzymie porobione są podkopy, które prowadzą do tajemnych komnat. Tam zgromadzaliście się i odbywali narady. Stamtąd rozchodziły się w ciche noce rozkazy po kraju... Tak mówili. Wiadomość o tem tłumiły wilgotne ściany podziemi. Żadna iskra zrodzonej tam zbrodni przeciwko carowi, nie dostawała się na światło dzienne do nas...

Traugutt.

(*Przerywając*). Mylą się twoi żołnierze, generale. Nie w jakichś tajemnych, wspaniałych salach przyszło postanowienie walki obronnej, ale w lasach, w obleganych kościołach, w celach więziennych, w katordze i torturach. Każda ofiara u słupa szubienicy dawała swój grosz wdowi poświęcenia. Każdy męczennik ze swojego trupa składał daninę dla wspólnej idei. Rzecz zrodziła się sama przez się. Naród nie mógł dłużej znosić waszego dzikiego ucisku. Zerwał się jak orzeł do klatki wciśnięty. Nie sądźcie, że wieki trwać będzie wasze panowanie. Naród wreszcie połamie stalowe kraty i zerwie kajdany. Jeśli nie wybiła, to niedaleka jest godzina, że wyżej nad loty rosyjskiego, polski wzbije się orzeł i dziobem potężnym poszarpie mu skrzydła. Przyjdzie czas, że całe stado sępów rzuci się na ptaka waszego i potarga go, wykole mu oczy, a choroba wewnętrzna go dobije. (*W uniesieniu*). Oby

przekleństwo, które was dosięgnąć ma, przyszło jaknajprędzej!

Gen. Lebiediew.

Potężna Rosja nie ulęknie się złorzeczeń jednego człowieka. Wy zawsze lubicie marzyć, a nie chcecie się zgodzić na to, że nas Świat postawił na tej ziemi i dał nam was w opiekę. Wy chcecie inaczej. Sami sobie los gotujecie.

Traugutt.

Nigdy nie wyrzekniemy się pamięci o tem, czem byliśmy.

Gen. Lebiediew.

(*Z ironją*). Czemu więc pan będąc obrońcą »katowanej« Polski, jej potężnym wodzem, nie ratowałeś siebie, by w odpowiedniejszych warunkach walczyć? Był pan przecież dyktatorem i miał władzę nieograniczoną...

Traugutt.

Dyktator, to u nas tylko szumny tytuł. Nie purpurowy, złotem utkany płaszcz okrywa dyktatora, ale szary, żołnierski, wiatrem podszyty, dziurawy od kul i cuchnący brudem obozowym. Nie w pałacach i bankach się obracamy, jak ciasne głowiny sołdatów waszych marzą, ale siedliskiem naszym lepianka i namiot. Przeciw waszym obłudnym dyplomatom mamy tylko odwieczną kartę historji, świadczącą o prawie naszem do życia; przeciw waszym armatom i setkom tysięcy bagnetów, mamy tylko kosy i szable, ale prócz tego mamy jedną broń niezwyciężoną. Jest nią siła Wiary.

Gen. Lebiediew.

(*Z niecierpliwością*). Ja tego słuchać nie mogę. Pan to tak zuchwale mówisz, jak gdybyś nie wiedział co ci grozi.

Traugutt.

Czekam. (*Gen. Lebiediew chce coś odrzec. Przerywa mu Zdanowicz*).

Zdanowicz.

Przepraszam pana generała. (*Do Traugutta*) Pan myślisz może, że się tu jeszcze ocalisz? To się pan myli. Ja pana wydałem. Pan ze mną razem w pułku służył. Pan był wtedy pułkownikiem, ja jeszcze kapitanem. Che — che — pan zawsze był niebłogonadiorżnyj. Poznaliśmy się tutaj, co? Panie gienerale, to ja go zdemaskowałem, tylko ja.

Gen. Lebiediew.

Pułkowniku Zdanowiczu, wielka twoja zasługa przed carem i ojczyzną (*Do Traugutta*) Ale powiedz mi pan, jak mogłeś służąc w armji rosyjskiej, chwalebnie odznaczony w wojnie tureckiej, potem przeciw wojsku własnemu walczyć i z buntownikami się łączyć. To zdrada... Gdzie honor?...

Traugutt.

Honor właśnie kazał mi wam i rodakom pokazać że pod rosyjskim mundurem miałem polską duszę.

Gen. Lebiediew.

To zuchwalstwo!

Zdanowicz.

To wstyd dla pułku

Gen. Lebiediew.

Tak nie robi rosyjski oficer.

Traugutt.

Tak każdy dobry Polak czyni. — Wy tego nie rozumiecie, zawsze głodni ziemi, zawsze głodni zbrodni i krwi. Czego tu do mnie przychodzicie? Wszak dostałem już wyrok i czekam.

Gen. Lebiediew.

Niech się pan uspokoi. Za dwie godziny będzie wyrok wykonany. Ja przyszedłem się z panem pożegnać. Może się pan skruszy — — — poczuje się do winy.

Traugutt.

I co wam z tego przyjdzie? A zresztą przyznaję: przyznaję, że upadło powstanie, zginę śmiercią i ja, ale sprawa polska żyć będzie i dręczyć was ciągle, póki nareszcie nie będziecie pokonani. Nie myślcie, że to koniec. Na naszych grobach zrodzą się bojownicy wolności. Szubienica jest tylko podnietą do dalszej walki. A dalej, przyznaję, że byłem dyktatorem Polski wojującej, chcącej się wyzwolić z ciężkiego jarzma. No, macie w ręku swoim naczelnego wodza polskiego powstania. Cieszcie się!

Gen. Lebiediew. (*Porywczo*)

Przestań pan mówić. Jak pan śmiesz wyrażać się

tak o Polakach tu, w rosyjskim gmachu. Jak pan możesz nawet przyznawać się do polskiej władzy i do polskiej narodowości. Tutaj nie ma nic polskiego i nigdy nie będzie.

Traugutt.

Chcecie Polskę zdusić, ale to się wam nie udaje. Nasyłacie tysiące żołdackiej dziczy, a naród ma ciągle tę samą duszę, te same kościoły i wiarę!

Gen. Lebiediew.

Ale przyjdzie czas, kiedy na tej ziemi będą cerkwie, inna wiara i inna dusza żyć będzie.

Traugutt.

Przenigdy. (*Chwila milczenia. W drzwiach staje Kapitan*).

Kapitan.

Proszę pana gienerała. (*Gen. Lebiediew wstaje i wychodzi na korytarz do Kapitana. Przez ten czas Zdanowicz pozostaje w celi z Trauguttem*).

Gen. Lebiediew.

Czy skazańcy już zgromadzeni?

Kapitan.

Według rozkazu. Z tym oto (*wskazuje na Traugutta*) jest siedmiu.

Gen. Lebiediew.

Pięciu wystarczy. Najjaśniejszy Pan raczył zauważyć, że pięciu będzie dość. Wybrać zatem z pozo-

stałych sześciu, czterech. Ten (*wskazując na Traugutta*) w każdym razie pójdzie.

Kapitan.

Według rozkazu. Kiedy mam ich wyprowadzić?

Gen. Lebiediew.

Już za chwilę. Czekaj pan, aż stąd wyjdę.

Kapitan.

Według rozkazu. (*Salutuje i odchodzi. Gen Lebiediew wraca do celi*).

Gen. Lebiediew.

Słonko się budzi. Piękna pogoda. Wesoły będziemy mieli dzień.

Traugutt.

Szczególnie dla was wesoły, gdy możecie dać jeszcze jedno świadectwo swojej tyranji. Jestem gotów. Wykonajcie wyrok. Wołajcie żołnierzy, aby mnie rozstrzelać. Tylko prędzej...

Gen. Lebiediew.

Nie. Pan nie będzie rozstrzelany. Pan będziesz wisiał. Taką śmierć zgotujem polskiemu wodzowi! (*Odwraca się i energicznym krokiem wychodzi. W tym czasie zza ramy drzwi zagląda do celi Feliks. Chce się zbliżyć do swego wodza, lecz czeka, aż wyjdzie Zdanowicz*).

SCENA III.

Zdanowicz.

I taki koniec, mój mości gienerale!

Traugutt.

Dosyć tego. Nie mamy nic do mówienia. Wypełniaj pan dane ci rozkazy, a mnie nauk nie udzielaj.

Zdanowicz.

Ach ty! — — — (*Zbliża się do Traugutta i grozi mu pięścią. Traugutt odpycha go. W tej chwili wpada Feliks, jednem pchnięciem silnych ramion wyrzuca z celi pułkownika*).

Feliks.

Milcz kacie, gdy stoisz przed dyktatorem!

Głos. (*pułkow. Zdan.*)

Szaleniec — łapać go — szaleniec!

Feliks.

(*Pada do nóg Trauguttowi*). Panie mój, Wodzu! Zbłądziłem. Przebacz za życia ciężką winę moją!

Traugutt.

(*Wzruszonym głosem*). Bądź spokojny. Przebaczam ci — z serca. (*Słychać szczęk broni. Wchodzą żołnierze i wyprowadzają Traugutta Na Feliksa nie zwracają uwagi*).

SCENA IV.

(*Feliks na pół obłąkany chodzi po celi*).

F e l i k s.

Com ja zrobił, com uczynił? — Ach, jak ciężka wina moja, ach, jak wielka moja zdrada. (*Wchodzi Anna, w zaniedbanej, więziennej szacie*) Chodzę, błąkam się po celach, nikt spokoju mi nie daje, a sumienie duszę gryzie.

Ja — com kiedyś był szczęśliwy, teraz hańbę cierpieć muszę, za me grzechy, za me winy.

A n n a.

Ach! — — —

F e l i k s.

(*Nie widząc jej*). Bóg skarał moją słabą wiarę. Głos grzechu znalazł u mnie posłuch.

A n n a.

(*Z przerażeniem*). Feliks!

F e l i k s.

(*Ujrzawszy ją*). Czego zgrzytliwym śmiechem wywołujesz wizję szczęścia straconego? Czego łamałaś szczęście? (*Anna usiłuje go odwieźć z celi*) Idź! Nie tykaj mnie! Czego jak mara ciągle towarzyszysz mnie? Skróć mi cierpienia i zniknij mi z oczu! Ty... do zdrady pchnęłaś mnie! — — — Przeklęte niech będzie pierwsze nasze spotkanie!

Anna.

Oh, ja nie-szczę-śli-wa! (*Puszcza Feliksa i wtuliwszy się w prawy kąt celi — płacze*).

Feliks.

(*Klęka na podłodze*). Tu, po tej więziennej ziemi Wódz chodził. Tu jego krwawe łzy spływały. (*Zmiata ręką pył z podłogi*). O, święty prochu, święta ziemio nasza. Krwią męczenników jesteś przesycona. Jak długa i szeroka jesteś — w jedno więzienie się przemieniłaś. O, Polsko! W Tobie się cuda poświęceń i bohaterstwa dzieją. W Tobie żyje święta idea, a obok wielkie zbrodnie się szerzą. Skaraj Ty, Boże, zbrodniarzy i zdrajców, którzy Matkę swoją zabijają! Na mnie pioruny ześlij, męki piekielne, aby się stało zadość sprawiedliwości! (*Słabym z wycieńczenia, konającym głosem*). Boże Święty, Mocny, Nieśmiertelny! (*Umiera*).

OSTATNI LIST AUTORA DO RODZICÓW.

Kochani Rodzice!

Ze spokojem czytajcie ten list, bo trza się przecież zdobyć choć trochę na serca męskie, bo nie można wyłamywać się z tradycji ojców i matek, którzy na wzór ludu spartańskiego słali swych synów na boje kościuszkowskie, pod sztandary roku 31, 63 i tyle innych krwawych narodowych sztandarów...

Wspaniale odbył się wiec dzisiejszy. Kraków postanowił posłać pomoc oblężonemu Lwowu. I czy nie przypomina się historja Zbaraża?

Los straszliwy zesłał na naród nasz potop okropny, w stosunku do którego niczem jest potop Ojczyzny, który nam Sienkiewicz przedstawił. A w potopie dzisiejszym krwawi się bastjon, ten Lwów, zawsze wierny. Małe dzieci tam walczą, dziewczyny — wszyscy. Dokonywa się zbrodnia podła, do której badania przystąpią kiedyś historycy z podświadomym wstrętem i grozą. Tak, bo takich rzeczy historja nie oglądała!

Po krwawej wojnie pokrywają Europę gradowe chmury zwyrodnienia, a ludzie, którzy serca nic nie mają, a zamiast serca okrucieństwo — panować chcą. Straszna przychodzi fala. Czy nas porwie?!

Krasiński, ten największy nasz Prorok Przyszłości,

jak żywy mi teraz staje przed oczyma, otwiera ponurą księgę »Nie-Boskiej komedji«. Ja czytam... Czy ten chór lokajów, przechrztów, rzeźników, to nie rażąca, boleśnie rażąca prawda XX wieku. I gdyby tak stanął dzisiaj w Polsce Krasiński, czy nie powiedziałby: »Dzieło moje, to miniatura potworności lat tych«.

Zaprawdę, to co się dzieje i dziać będzie, takim wstrętem przejmuje duszę mającą choć za grosz Ideału. Nie krwi rozlew mię tutaj przeraża, ale intrygi, niszczenie kultury, ciemności umysłów, bezduszność i zwierzęcość ludzi, ale masy ludu, który dał się porwać oszustom, którzy sumienie swoje djabłu samemu zaprzedali, by na tem budować swoją egzystencję.

O! to już nie »Nie-Boska« ale szatańska, krwawa komedja. Sam szatan-reżyser porusza tutaj aktorami-marjonetkami, by ciemnym instynktom widowisko czynić! Europa, a w niej Polska - Grzesznica, znalazła się w kotle zawiści.

Gdy przyjdzie mi na myśl postać ...... czy ......, wtedy mam wrażenie, jakiego się doznaje, gdy dotknie się człowiek glisty lub jaszczury, albo gdy spojrzy się na kata, który dopiero co topór skrwawiony opuścił! Czy wiedzą ci kaci powstającej Polski, że krew lejąca się we Lwowie na ich głowy spada?! Wszak »rząd w Lublinie« odmawia pomocy Lwowowi, a garstki ochotników muszą go zdobywać!

Piszę ten list w przekonaniu i w przeczuciu, że żywy wrócę. A gdyby nawet tak nie było, to wiecie czegoby mi było najwięcej żal? Nie tego, że drogich mi osób nie zobaczę, nie tego, że nie zobaczę Polski, z której krew wszystka spłynęła, bo nie wolno nam



Janusz Saryusz Kamocki: SKAUT.
Reprodukcya barwnego obrazu olejnego.

teraz mieć serc tak małych, żal byłoby mi tylko Pracy, pracy na polu twórczym. Bo cały ten tłok myśli i pomysłów, który ustawicznie głowę moją rozsadzał, nie znalazłby zrealizowania, że nie cieszyłbym się odmalowaniem tego straszliwego potopu i tragedji ludzkiej, w której śmiech szatanów świat cały dreszczem przejmuje...

A więc bywajcie zdrowi, byśmy się niedługo zobaczyli. Wiem, że Wam teraz smutno i ciężko, lecz przecie trza pamiętać, że zwykle po piorunach bywają pożary i że pożar ten na ziemiach naszych dopiero się zaczyna, a przeciwwagą do tego mogą być ludzie tylko mężni...

Tam na wschodzie pali się nowa Jasna Góra, z tą jednak różnicą, że nawale nieprzyjacielskiej nie mnichy i rycerstwo, ale garstka wolontarjuszów i dzieci się opierają! Kraków błagają o pomoc.

Więc życzenia mi składajcie, bom szczęśliwy jak nigdy! Niech nikt szczęścia mego nie próbuje mi łamać.

W wojskowym pociągu pancernym jedzie na odsiecz trzystu żołnierzy Legji akademickiej. Zdobędziemy Lwów, a gdybyśmy nawet odrazu nie zdobyli, to stać nas na to, by dać historji drugie Termopile!

W górę serca!
i do zobaczenia
Was bardzo kochający syn

Janusz.

Kraków, 12. XI. 1918.